NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM II NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 10

LONDYN PAŹDZIERNIK 1943

„Z PIERWSZEJ LINII FRONTU"
Strona tytułowa książki.

DO POWSTANIA KSIĄŻKI TEJ PRZYCZYNILI SIĘ:

TROPIONY KONSPIRATOR,

OCALENI Z POGROMÓW,

SĘDZIA,
KTÓREMU WCIŚNIĘTO PIÓRO DO RĘKI,

WYWŁASZCZENI,

MATKA,
KTÓREJ DZIECI WYRWANO NA PONIEWIERKĘ,

ŚWIADKOWIE
EGZEKUCYJ PUBLICZNYCH,

HISTORYK LITERATURY,
KTÓRY STAĆ SIĘ MUSIAŁ HISTORYKIEM MĘCZEŃSTWA
SWEGO NARODU,

LUDZIE,
KTÓRYCH ZEZNANIA POSIADAJĄ JUŻ CERTYFIKAT ŚMIERCI,

PRZECHODZIEŃ,

ŻOŁNIERZE.

Z PIERWSZEJ LINJI FRONTU

„Z Pierwszej Linii Frontu" to książka wydana w Kraju w marcu 1943 r. Podajemy z niej parę fragmentów.

Walka z polskim żywiołem rozgorzała już z pierwszym dniem okupacji. Terror objął wszystkie miasta i całe ziemie zachodnie. Najsrożej jednak dotknął Wielkopolskę. Wszędzie były aresztowania, wywożenia, internowania, przesłuchy, rozstrzeliwania, w Wielkopolsce jednak to wszystko odbyło się w skali największej.

Egzekucje miały miejsce przeważnie w miastach i zapowiadano je kilka godzin naprzód. Ludność zmuszano do uczestniczenia w tych ponurych widowiskach.

Oto mały wyjątek z nieskończenie długiego rejestru zbrodni niemieckich:

Gostyń, 18 października 1939 r. O godz. 10 rano urządzili Niemcy publiczną egzekucję na rynku pod figurą Matki Boskiej. Ludność miasta, którą zawiadomiono o obowiązku stawienia się na rynku i asystowania przy kaźni niewinnych, zapełniła rynek. Byli wśród niej starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, znajomi i sąsiedzi, krewni, ojcowie, żony i dzieci skazanych. Ci, którym brakło siły, by stanąć w tłumie, zza okien patrzyli na rynek. Wśród nich w jednym pokoju żona i ośmioro dzieci jednego ze skazanych. Pluton egzekucyjny ustawił się w kilka szeregów. Skazanych, których stanowili aresztowani kilkanaście dni przed tym najpoważniejsi obywatele miasta, wprowadzono na rusztowanie z bali i desek. Wprowadzono ich kolejno dziesiątkami, a były cztery, i kazano im się obrócić twarzami do muru. Chwilę potem padł rozkaz i wraz z nim salwa. Nie wszyscy zginęli odrazu. Ruszali się jeszcze.

Tak stało się z drugą dziesiątką i trzecią.

Na owych trzydziestu tylko jeden fizycznie nie wytrzymał i osunął się przed egzekucją na ziemię. I na to była rada. „Oficer" podszedł i strzelił w skroń zemdlonego.

Wstrząsające wrażenie! Czyżby także dla katów? Bo, gdy czwarta dziesiątka przygotowana za rynkiem czeka na swą kolej, pada decyzja: egzekucję wstrzymać. A więc cudem uratowani od śmierci?

Na dzisiaj — tak.

Ludność z odchylonymi głowami rozchodziła się wolno do domów. Wszyscy wracali jak gdyby zdrętwiali.

Tylko z pierwszych szeregów odkomenderowano Polaków do zabrania ciał. Nie pozwolono kapłanowi przygotować skazańców na śmierć.

Ale wśród tłumu na rynku pomimo wszystko stał kapłan i błogosławił.

Kościan; dnia 3 października 1939 r. odbyła się na rynku pierwsza publiczna egzekucja. Rozstrzelano w niej 18 zakładników. Wśród nich rozstrzelano pewnego kupca w odwecie za rzekomo przez Polaków zamordowanego Niemca. Niemiec ten wrócił po kilku tygodniach zdrów i cały.

Przymusowymi świadkami powyższej egzekucji byli ludzie właśnie wychodzący z kościoła oraz ci, którzy w tym czasie przebywali na targu. Przyprowadzono również wszystkich zakładników. Po egzekucji pozostali zakładnicy załadowali ciała pomor-

dowanych na wóz, który ruszył w kierunku miejscowego cmentarza... żydowskiego, gdzie pochowano zamordowanych we wspólnej mogile.

Druga egzekucja odbyła się 23 października również w dzień targowy na rynku. Skazańców było 19. Do każdego oddano po dwa strzały. Świadkami byli również przygodni ludzie z targu oraz nowi zakładnicy. Do ładowania ciał pomordowanych na wóz zmuszono 2 księży, z których jeden liczył 70 lat. Po przyjeździe na cmentarz okazało się, że 9 jeszcze żyło. Pogrzebano ich żywcem.

Owych 2 księży zmuszono następnie do zmywania krwi i śladów po egzekucji. Ksiądz staruszek po tych przeżyciach zmarł.

Środa: dnia 17.9.39 rozstrzelano pierwszą partię obywateli ze Środy... Zginęło 21 obywateli.

Druga egzekucja odbyła się 21 października... Stracono 29 obywateli w 3 seriach... Do skazańców strzelano z tyłu... Rannych dobijano z broni krótkiej.

Kostrzyn: 20 października 1939 r. odbyła się publiczna egzekucja na rynku. 28 skazanych. Po egzekucji wywieziono ciała w pole. Tam okazało się że część jeszcze żyła. Mimo próśb o dobicie zostali żywcem pochowani i zasypani. Ludność miejscowa ukopała wspólną mogiłę i postawiła krzyż... Władze niemieckie kazały to miejsce zaorać i obsiać.

Kurnik: W październiku 1939 „Sąd wojenny" w mieście. 15 wyroków śmierci. Mordowani umierali z okrzykiem: „Giniemy za Polskę!" Na cmentarzu kulami rewolwerowymi dobijano żyjących.

Leszno: 20 października 1939 odbyła się publiczna egzekucja. Rozstrzelano 20 czołowych obywateli.

Ostrów: W listopadzie 1939 aresztowano około 40 obywateli. Po długim okresie aresztu nastąpiło pewnego dnia wywiezienie samochodami w „nieznane". Zgodnie z rozkazem wszyscy położyli się plackiem jeden na drugim, by nikt ich nie zobaczył. Krótka jazda. Wielkie zmęczenie. Napięcie nerwów. Wreszcie koniec wyprawy.

— Wysiadać! — padają krzyki i nawoływania.

Poganianie, popychanie, zrzucanie gwałtem z woza.

Skazańcy rozglądają się: droga, pola i tuż przy drodze lasek.

— Do lasu, biegiem marsz!!... — pada rozkaz.

Rusza niesamowita tyraliera zbiedzonych i umęczonych ludzi. Przez pole w kierunku wyznaczonego celu. Nagle: zaszczekały z tyłu karabiny maszynowe. Kośba śmierci... Walą się wszyscy pokotem: były poseł, wybitny działacz katolicki, dyrektor szpitala, znakomity obywatel, powstaniec, kupiec, adwokat. Kwiat miejscowej inteligencji. Kwiat obywatelstwa. Ginie dyrektor gimnazjum, rzemieślnik, urzędnik, doskonały samorządowiec. Ojcowie rodzin... Synowie...

Powrzucano krwawe żniwo do rowów. Doły zasypano. Udeptano ziemię — zrównano. Śladu nie ma po wszystkim.

Inowrocław: Październik 1939 r. W więzieniu przebywa 400 zakładników Polaków. Grupie wybitnych Niemców nie udało się podobno polowanie na zające. Po sutej libacji hotelowej wpada ktoś na „genialny" plan: urządzić polowanie na zakładników. Ustalono więc według listy — na miejscu — ofiary. Udano się natychmiast — nocą — do więzienia. Każdy w mundurze partyjnym SS. (M. in. starosta i wybitny ziemianin). Dozorcy otwiera-

ją na rozkaz zbiorowe cele. Z listy zakładników wywołuje się najwybitniejszych obywateli. Oprawcy czuwają z bronią w ręku w hallu więziennym.

— Kiełbasiewicz!

Wybiega radny miejski. Strzały... Zakładnik pada trupem na miejscu.

— Reszke!

— Zdjąć marynarkę, wytrzeć ślady krwi. Ubrać się i biec wzdłuż korytarza!

W tej chwili słychać strzał, Reszke pada martwy.

— Jankowski!

Prezydent miasta. Witany stekiem obelżywych słów. Następują pytania. Prezydent ze spokojem próbuje odpowiadać. Wreszcie kończy jednym zdaniem: „Jeszcze Polska nie zginęła".

Jedna chwila: Kulą prosto w usta i śmierć na miejscu.

I ciąg dalszy.

— Juengest! — Wiceprezydent miasta.

— Hoppe! — Ziemianin.

— Poniński!

Wychodzi ziemianin, esteta, człowiek wielkiej kultury. Wśród naigrawań Niemiec ziemianin domaga się od niego podpisania dokumentu, w którym zrzeka się swego majątku na rzecz skarbu Rzeszy.

— Szubrawcom nic nie podpisuję!

— Więc giń, psie!

Kula w głowę i koniec.

Wywołują nazwiska jedno po drugim. Ciągnie się to w nieskończoność. Ogółem zginęło wówczas 52 najznakomitszych obywateli Inowrocławia i ziemi inowrocławskiej. Zbrodnia ta stała się tak głośna, że mimo wszystko nie można było przejść nad nią do porządku dziennego. Zjechała wyższa komisja śledcza z Berlina. „Wesołych myśliwych" ukarała podobno wysłaniem na front.

(Relację powyższą uzyskano od jednego z zakładników, który wywołany zbiegł szybko na dziedziniec więzienny i upadł na stos trupów, tak że nie zdążyła go dosięgnąć kula. Kiedy nazajutrz chowano w rowach tuż przy więzieniu ciała wszystkich pomordowawanych znaleziono przy życiu pozostałego zakładnika).

Dziesiątki pozostałych zakładników inowrocławskich wywieziono później autami ciężarowymi do lasu za miasto i tam dokonano egzekucji.

To działo się z zastosowaniem wszelkich środków ostrożności i dlatego po tych egzekucjach nie potrzebowała już zjeżdżać żadna komisja śledcza i wszczynać dochodzenia celem ukarania „sprawców"!...

Kalisz, Buk, Międzychód, Mosina, Oborniki, Murowana Goślina, Zaniemyśl, Śrem, Kurnik, Krobia, Śmigiel... Egzekucje publiczne, masowe mordy...

Materiałów coraz więcej. Wszystko ocieka krwią. W sumie: około sześć tysięcy egzekucyj. I to jest dopiero Wielkopolska.

* * *

...Nie głód ani chłód nadają niemieckim obozom koncentracyjnym hańbiące piętno najohydniejszych instytucji XX wieku.

Kiedy przechodzę do tego tematu, ręka mi drży i jakiś głuchy, opętany ból chwyta mnie za gardło. Czuję jak zalewa mą twarz w tej chwili rumieniec, tylko nie wiem, czy zrodził się on z płoną-

cej lawy zemsty, co się przez wnętrze mej duszy przelewa, czy też z palącego wstydu, że to wszystko co tam się działo i dzieje — dziełem jest człowieka, co tak jak ja, żyje w XX wieku chrześcijaństwa, w sercu Europy, zrodzonego z matki-człowieka i ojca-człowieka.

Zorganizowane, do doskonałości doprowadzone w swej iście germańskiej systematyczności, pedanterii karności — plucie na człowieka, deptanie i zohydzanie jego najświętszych uczuć, fanatyczna pogarda dla wszystkiego co chore, słabe, ułomne, sadystyczne, szatańskie wprost znęcanie się nad więźniami przy zastosowaniu słynnych już nowoczesnych hitlerowskich tortur, na tle zboczeń i zwyrodnień seksualnych, — oto jak powinien wyglądać wyjątek z porządku obozowego przytaczany w nagłówku listów z Sachsenhausen, czy z innych obozów niemieckich.

Jeżeli piszę o tych rzeczach — choć ręka mi drży, a wszystko się w człowieku wzdryga, to jedynie dlatego, iż ciąży na mnie obowiązek, od którego nic mnie powstrzymać nie zdoła: obowiązek ukazania światu tego, co się dzieje za drutami niemieckich obozów koncentracyjnych. Ciąży na mnie ostatnie przedśmiertne słowo tylu, tylu Polaków, co konali na moich rękach śmiercią męczeńską: „Kolego — gdy wam Bóg z tąd cało kiedyś wyjść pozwoli — piszcie, piszcie! Niech Polska i świat cały wie!".

Dziś nieudolną ręką wypełnić usiłuję ich testament.

Opowiedzieć chcę przede wszystkim o niesłychanie barbarzyńskim i jakże znamiennym dla psychiki germańskiej rysie, świadczącym o jej głęboko pogańskim, obcym chrześcijaństwu charakterze: chodzi mi o stosunek do ludzi starych, schorowanych inwalidów, ułomnych, niedołężnych, słowem do wszystkiego co słabe i niemocne.

Cała furia nienawiści i pogardy obróciła się przede wszystkim przeciwko tym nieszczęśliwcom. Chciałoby się powiedzieć, że był to iście zwierzęcy szał i popęd — ale czy wolno nam, czy mamy prawo obrażać zwierzęta? Czy też raczej mamy w tym miejscu powtórzyć słowa, które słyszałem często od jednego z więźniów, Niemca zresztą, który je wypowiedział patrząc na postępowanie swoich rodaków: „Wer die Menschen kennt, lernt die Tiere liebhaben".

Gdy cały cywilizowany świat bez względu nawet, czy jest chrześcijański, czy nie, odczuwa litość, potrzebę niesienia ulgi i pomocy starcom, chorym, ułomnym — Niemcy odwrotnie odczuwają wstręt i pogardę, uważają, że dla nich miejsca nie ma, dziwią się niezmiernie, że coś podobnego pragnie żyć i żyje jeszcze. „Du alte Muzulman" — oto określenie jakie mają SS-mani i blokowi dla wszystkiego rodzaju nieszczęśliwców i kalek, przyjęte we wszystkich obozach niemieckich, zarówno w Dachau, Sachsenhausen, Buchenwaldzie jak Mathausen, czy Oświęcimiu. I tych „muzułmanów" wykańcza się szczególnie barbarzyńskimi sposobami, byle tylko było ich jak najmniej, byle tylko pochłonął ich jak najszybciej piec krematoryjny, bo pocóż mają zawadzać w obozie, skoro i tak najmniejszego nie ma z nich pożytku.

Patrz czytelniku razem ze mną, patrz dobrze i uważnie, bo to jeden z najbardziej dokumentarnych obrazów Rzeszy hitlerowskiej: wszyscy młodzi, zdrowi, zdolni do pracy więźniowie zostają pewnego dnia na życzenie władz obozowych na blokach i spędzają czas spokojnie i wygodnie siedząc przy stołach. Wszyscy zaś chorzy, starzy, zniedołężniali, niezdolni do pracy, słowem

wszyscy „muzułmanie” odbywają w tym samym czasie przez kilka godzin z rzędu „sport” pod kierunkiem blokowych, goniąc do upadłego po placu obozowym, padając i powstając, skacząc w przysiadach, tarzając się po ziemi, aż powoli jeden za drugim pada bez tchu na ziemię skopany i zbity przez „opiekunów”.

Bito w Sachsenhausen, jak zresztą we wszystkich obozach Rzeszy, straszliwie. Odwieczny system germański uznający bicie, policzkowanie i kopanie za najlepszą metodę wychowawczą — tu znalazł swój najpełniejszy wyraz.

Jeden z SS-manów, który odbierał codzienny raport od naszego blokowego, słysząc, że w dniu poprzednim zmarło np. 3 więźniów na bloku, zwykł był krzyczeć swym zachrypniętym i krwiożerczym głosem (chłopak 20-letni z wykształceniem): „Was ist los? Warum so wenig? Passemal auf, mein lieber Mann”.

Nic też dziwnego, że blokowi drżąc o własną skórę starali się mieć taki porządek na bloku, aby więźniów rzeczywiście porządnie ubywało i, żeby tym samym krematorium miało zajęcie.

Jedną z naczelnych zasad w obozie, to stwierdzenie, jakie na nasze przywitanie wypowiedział wspomniany wyżej scharführer: „W obozie chorzy nie istnieją, w obozie są tylko żywi i umarli. Zwolnienia są, ale na plecach”.

Rychło przekonaliśmy się, że nie było to pustym frazesem. Był co prawda w obozie szpital tzw. revier, jednakże po pierwsze: mógł on pomieścić tylko znikomy procent chorych i wymagających pobytu w szpitalu więźniów, po drugie zaś władze obozowe patrzyły ogromnie niechętnie na wysyłanie więźniów do revieru, dążąc do możliwie szybkiego stopnienia naszych szeregów, a revier bądź co bądź mógł niejednemu uratować życie, czy przedłużyć je. Szpital istniał tylko ze względów reprezentacyjnych i był zabezpieczeniem zarówno obozu jak i władz przed wszelkiego rodzaju epidemiami.

W tym stanie rzeczy znaczna większość chorych nie oglądała na oczy revieru, umierając na bloku w warunkach przechodzących wszystko, co kiedykolwiek bestia ludzka wymyślić mogła. Ponieważ przyjęta była zasada, że chorych na bloku być nie może, wszyscy chorzy musieli na równi ze zdrowymi wykonywać ćwiczenia i chodzić na apele, stać i maszerować w szeregu, aż po ostatnią chwilę przytomności. A kiedy już taka mara ludzka zwaliła się z nóg, wówczas braliśmy ją za ręce i nogi, lub na plecy i nieśliśmy ze sobą na plac obozowy, gdzie podtrzymywana przez swych kolegów bądź też położona na ziemi nieraz w błocie i kałuży, brała udział w apelu, li tylko swym ciałem drżącym w śmiertelnej agonii. Duch bowiem błąkał się już w innych światach.

Tak samo wszystkich zmarłych, których nie zdążono odtransportować do krematorium, musieliśmy owijać w koce i tak niczem mumie nieść ze sobą na plac obozowy. Tam ułożeni około swoich bloków stawali, a raczej układali się do swego ostatniego apelu.

I kiedy już mówimy o ostatnich chwilach więźnia w Sachsenhausen trzeba na tym miejscu poruszyć zbrodnię, na wspomnienie której człowiek w przerażeniu zastyga.

Czytelniku! Kimkolwiek jesteś i gdziekolwiek cię losy zapędziły — słuchaj... Widziałem i przeżyłem jako więzień obozu koncentracyjnego wiele. Widziałem jak wśród trzaskającego 35-stopniowego mrozu kilkunastu wyższych oficerów SS biło na zmianę kilkuset więźniów Polaków rozciągniętych na specjalnie do tego celu zbudowanym koźle. A bili kijami i rzemieniami, aż krew

tryskała. Każdemu więźniowi bez względu na wiek i zdrowie wymierzano 10 razów, przy czym kilka tysięcy więźniów ustawionych wokoło w szeregu musiało głośno liczyć każde uderzenie: ein, zwei, drei, itd. Byłem świadkiem, jak kijami i pięściami ubijano na śmierć za jedną znalezioną wesz, za nieporządne zdjęcie czapki z głowy. Znałem ludzi, których niemieccy bandyci-więźniowie wykończyli przy pracy, czy innym sposobem dlatego tylko, aby zwłoki obrabować ze złotych zębów, które następnie mogli korzystnie zbyć. Własnymi oczyma patrzyłem na to, jak jeden z blokowych Niemców w ten sposób robił porządek z „muzułmanami" na swym bloku, że poprostu topił ich w gnojówce, w dole z nieczystościami stojącym niedaleko bloku. W mojej obecności wachmani SS konwojujący nas podczas marszu do pracy, rozkazywali więźniom (w tym wypadku Żydom) odbiegać na kilkanaście metrów w bok po to, aby następnie zastrzelić ich na miejscu, za rzekomą chęć ucieczki.

Tak to wszystko działo się w moich oczach i wierz mi czytelniku, wszystko to mieściło się w moim pojęciu o barbarzyństwie i podłości człowieka, — po prostu byłem przygotowany psychicznie na to, że pewien rodzaj człowieka może w swym zwyrodnieniu i w swym okrucieństwie posunąć się tak daleko... Jednakże to, o czym mam zamiar teraz mówić, przeszło granicę wszystkiego. Tego nie pojmie mój rozum nigdy i zawsze będzie żyło we mnie przerażenie tych dni, w których ujrzałem dno człowieczeństwa.

K o n a j ą c y w i ę ź n i o w i e w S a c h s e n h a u s e n o s t a t n i e c h w i l e ż y c i a s w e g o s p ę d z a j ą w u s t ę p i e !

Skoro tylko któryś z więźniów załamuje się do tego stopnia, że nie potrafi się już utrzymać na nogach, blokowy każe go wynieść do ustępu razem z siennikiem i tam leży taki nieszczęśliwiec nieraz kilka dni i nocy z rzędu aż po chwilę skonu. Tak samo wszyscy zmarli leżą owinięci w koce nieraz dzień i dwa, zanim zostaną przez swoich żywych kolegów odniesieni do krematorium.

Co się w nas działo — kiedyśmy musieli swoje potrzeby fizjologiczne załatwiać uważając, aby w ścisku nie nastąpić na ciało dogorywającego kolegi, lub na zimne już zwłoki leżące na posadzce — żadne słowa tego oddać nie potrafią. A cóż dopiero czuli ci, którzy tam złożeni w ustępie umierali? Ci, którym po uczciwie spędzonym życiu przyszło konać w miejscu przeznaczonym dla kału ludzkiego i ludzkich nieczystości? W miejscu, do którego człowiek nie miałby sumienia wrzucić zdychającego psa.

Nie można większej i okrutniejszej krzywdy wyrządzić człowiekowi. Nie można już bardziej shańbić istoty ludzkiej. Czemże są tortury i cierpienia fizyczne wobec tej strasznej męki i gehenny duchowej, wobec tego bezdennego upokorzenia i poniżenia człowieka, którego za prawe, czyste, uczciwe życie, pełne nieraz poświęceń i wyrzeczeń, za życie pełne zasług społecznych, czy naukowych — taki oto spotyka los... śmierć w ustępie, — a pogrzeb w piecu krematoryjnym... Taki jest los większości więźniów w Sachsenhausen.

Po ostatnie chwile życia mego będą patrzyły na mnie oczy tych wszystkich towarzyszy niedoli, co dogorywując w konwulsjach i z pianą na ustach, rozglądali się ze swego barłogu śmiertelnego ostatnim rozdzierającym serce, krzyczącym o pomstę

i karę spojrzeniem. Rozglądali się po szarych ścianach ustępowych, śniąc zapewne w majaczeniu, co śmierć wyprzedza, że to ściany domu rodzinnego, że oto matka dobra nachyla się ze szklanką gorącej herbaty... W rzeczywistości zaś blokowy widząc niepotrzebną i irytującą go agonię jakiegoś tam häftlinga Nr. taki a taki — wlewał mu szklankę wody do ust, by się zadusił.

To był najistotniejszy rys obozu w Sachsenhausen: z jednej strony na bardzo wysokim poziomie hygiena zewnętrzna, wzorowa czystość, porządek, ustępy o posadzkach wysadzanych kaflami i porcelanowymi urządzeniami — z drugiej strony barbarzyńskie, nieludzkie traktowanie więźniów, z którymi obchodzono się znacznie gorzej niż ze zwierzętami, i w tych wykwintnych ustępach kazano im umierać.

I na tym właśnie polega ogromne niebezpieczeństwo, jakie przedstawiają dla całego świata Niemcy — nowocześni Hunnowie. Przy doskonałym opanowaniu nowoczesnej techniki, mechaniki i w ogóle materialnej strony cywilizacji, pozostali moralnymi wandalami, pozostali największymi, współczesnymi barbarzyńcami w świecie moralności i etyki.

...A jednak za drutami kolczastymi, za murami kamiennymi niemieckich obozów koncentracyjnych żyje wielka i, mam odwagę to powiedzieć, potężna armia. Jedyna w swoim rodzaju.

Armia, — której bronią jest cierpienie. Cierpienie, od którego człowiek zamienia się w bestię i w obłęd popada, albo też staje się twardym, żywym niezłomnym granitem. Granitem, którego ogień nie spali, woda nie skruszy, a młot nie rozwali. Bo obok wykolejeńców i złamanych charakterów wyjdą kiedyś przez powalone bramy obozów — ludzie, których ta gehenna z pospolitych zjadaczy chleba w aniołów przerobiła. Prawdziwi Szaleńcy Boży. Żaden trud, żadne cierpienie, żaden kataklizm nie powstrzymają ich w drodze życiowej, w ich walce o nowe, o lepsze oblicze swego narodu i ludzkości. Tych ludzi już nic nie złamie. To Oni będą łamać wszystko po drodze, nie pięściami i gwałtem, ale żelazem swej woli i mocą swego ducha.

Rzesza hitlerowska gromadzi w dziesiątkach obozów koncentracyjnych potężne złoża dynamitu. Narasta on z dnia na dzień w duszach tysięcy uwięzionych, narasta krzywdą i męką niespotykaną w dziejach kultury. Ale dynamit ten rozsadzi pewnego dnia mury obozów i całą zabójczą siłą swą obróci się przeciwko nowoczesnym, straszliwym barbarzyńcom spod znaku swastyki.

* * *

Na każdym Niemcu zamieszkałym na terenach włączonych do Rzeszy spoczywa obowiązek nienawidzenia Polaków i pogardzania nimi. O obowiązku tym przypominają mu nieustannie gazety, mowy propagandowe przywódców partyjnych, dygnitarzy państwowych, okólniki urzędowe, ulotki, broszury, książki...

Gauleiter Greiser każe traktować Polaków jak ludzi skazanych na ciężkie roboty za popełnienie największej zbrodni.

„W walce o swój los — mówi on w Gnieźnie w dniu 6.11.1940 — w jakiej znajduje się naród niemiecki, Polak będzie musiał pracować tak samo jak my, a nawet jeszcze więcej. W ten sposób będą mogli Polacy przynajmniej częściowo spłacić swój dług krwi, jaki zaciągnęli wraz ze swym kierownictwem. I nie tylko dzisiejsze pokolenia Polaków będą musiały na nas pracować, ale

także pokolenia przyszłe, bo niepodległe państwo polskie nigdy już nie powstanie".

Niemcy muszą się odgrodzić od Polaków murem izolacyjnym. Specjalne przepisy wydane przez Greisera, mają zmusić Niemców do darzenia Polaków pogardą. Kto Polakom sprzyja, ten będzie zniszczony. Greiser w swej nienawiści do Polaków doszedł już do tego, że w innej mowie powiedział: „Obok miłości istnieje także nienawiść. A naród niemiecki kochamy, jeśli polski nienawidzimy jak zarazę".

Gaupropagandaleiter Maul stanowczo zapowiedział przed przywódcami, że „kto się sprzeciwia jasnym zasadom (darzenia Polaków pogardą), ten nie będzie traktowany jako Niemiec i będzie w sposób właściwy pociągnięty do odpowiedzialności".

Niemcy wychowują specjalny typ człowieka, którego celem życiowym będzie prześladowanie i tępienie Polaków. Greiser stanowczo domagał się tego od wychowawców w mowie do nich skierowanej:

„Nigdy — mówił on — nie może tu wychowawca zapominać o tym, że w ciągu dwudziestu lat musieli Niemcy znosić na tych obszarach hańbę, że tutaj 60 tys. Niemców zostało przez wojsko polskie zamordowanych. Obok miłości do niemczyzny musi przeto wychowawca siać wstręt do tego obcego narodu! Twardo i bezkompromisowo stoi tutaj wychowawca w narodowej walce życiowej i nie inaczej wychowuje on powierzoną mu młodzież. Nic nie zyskalibyśmy, gdybyśmy popadli w uczuciowe marzycielstwo dawniejszych czasów. Zwycięstwo naszego miecza można tylko utrzymać przez światopoglądową twardość. To musi być w sposób trwały i nie przemijający wpajane w serca niemieckiej młodzieży".

Pielęgnowanie pogardy dla Polaków zaprząta umysły wszystkich przywódców niemieckich na ziemiach okupowanych. Jeden z nich w specjalnym odczycie w Poznaniu stwierdził, że ziemie anektowane muszą być wyłącznie zamieszkiwane przez Niemców. Polaków bowiem nie można zmienić za pomocą wychowania. „Z tego faktu — powiedział — musimy tylko wyciągnąć właściwy wniosek. Zmusza on nas do zdecydowanego odgrodzenia się od Polaków".

Greiser stale nawołuje do „twardości":

„Wy, moi towarzysze, jako kierownicy polityczni w pracy, wyznawać musicie następujące motto: Kto nie jest z nami, jest przeciw nam, a kto przeciw nam jest, będzie w Warthelandzie zniszczony. Żądam panowie twardości, bądźcie twardzi i jeszcze raz twardzi, ponieważ sam znam od dzieciństwa z własnego doświadczenia mentalność Polaków".

Po całej serii najbardziej nienawistnych nawoływań przeciwko Polakom organ władz niemieckich we „Warthelandzie", „Ostdeutscher Beobachter" w następujący sposób zreasumował odbyty pod znakiem problemu polskiego zjazd przywódców partyjnych:

„My potrzebujemy tutaj ludzi, którzy są twardzi jak stal, i przede wszystkim posiadają w sobie poczucie pańskości, które potrzebne jest w walce z polskością, stającą się znowu coraz bezczelniejszą. Potrzebujemy także ludzi, którzy swej niemieckości tak są świadomi, że potrafią przeprowadzić pełne oddzielenie się narodu niemieckiego od polskiego. Gdyby zaś gdziekolwiek pokazała się znowu bezczelność tych podludzi („Untermenschentum"),

to wtedy obowiązuje nas zasada należytej twardości, przede wszystkim tam, gdzie temu obcemu narodowi wydaje się, że cugle zostały popuszczone".

Nienawiść Niemców do Polaków, której przykładów kilka zacytowaliśmy, zdaje się posiadać cechy wręcz patologiczne, podobnie jak ta w formie ulotki na szereg miesięcy przed wojną na Górnym Śląsku rozrzucana „modlitwa do niemieckiego Boga" o zniszczenie polskości:

Poraź o Panie, bezwładem ręce i nogi Polaków
Zrób z nich kaleki, poraź ich oczy ślepotą,
Tak męża jak i kobietę ukaż głupotą i głuchotą!
Spraw, aby lud polski gromadami zamieniał się w popiół,
Ażeby z kobietą i dzieckiem został zniszczony, sprzedany w niewolę
Niech noga nasza rozdepcze ich pola zasiane!
Użycz nam niezmiernej rozkoszy mordowania dorosłych i dzieci,
Pozwól zanurzyć nasz miecz w ich ciała
I spraw, by kraj polski w morze krwi i zgliszcz się zamienił!
Niemieckie serce nie da się zmiękczyć!
Zamiast pokoju, niech wojna zapanuje między obu państwami,
A jeżeli kiedy będę się zbroił do walki na śmierć i życie,
Będę wołał umierając: Zmień, o Panie, Polskę w pustynię!

ANTONI SŁONIMSKI

BRACIOM EMIGRANTOM

Wypełzamy — pluskwy z pod ram —
Za obrazem skryci na ścianie,
Aby spijać pociemku krew z ran
I znów kryć się gdy przyjdzie świtanie.

Jakiż może być robaczy bunt?
Chyba ten, że za krew co się leje
Rząd angielski zamiast płacić funt,
Pełną winien wypłacać gwineję.

Nie potrzeba nam obcych bóstw
Ani wzoru niepolskich postaci.
Co nas żywi? Krew naszych sióstr.
Co nas karmi? Krew naszych braci.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

SŁOŃCE SARATOGI*

Mrok tajemnicy, dość gęsty by okryć szczegóły miłosnej katastrofy, wystarczał i na to by spowić sobą dzieje wyjazdu z kraju. Czy istotnie pierwszymi nadarzonymi pocztowymi końmi pędził pan kapitan z Warszawy, ku tej granicy austriackiej za którą czekała Sieniawa, dokąd — jakże niedawno jeszcze! — miał się schronić wespół z Ludwiką? Czy potem podążył do Wiednia? A może dzieje owego wyjazdu odbyły się inaczej, niż opowiada o tym niedyskretny pamiętnik? Na to odpowiedzi nie mamy. Archiwa, po długich poszukiwaniach, wydały jeszcze jeden cenny ślad. List z Drezna. W liście tym Kościuszko pyta Czartoryskich czyby mu nie ułatwili swoimi stosunkami uzyskania przy dworze saskim pewnej posady. Mianowicie stanowiska kancelisty. Plany życiowe w tym momencie nie przedstawiały się więc zbyt awanturniczo: niemniej Czartoryscy nie wieleby i mogli pomóc w Dreznie, jako że z dynastią saską mieli jak najgorsze stosunki. Dlaczego i skąd zrodził się ten plan biurokratycznej kariery w stolicy saskiej? Jedno jest tylko wytłumaczenie. Kościuszko jeszcze wtedy nie rozstał się z nadzieją powrotu do kraju,ani uratowania sprawy. Chciał być blisko. Drezno było zaś istotnie najbliższym. Nie sięgała tu już władza ani siła Sosnowskiego, ale Saksonia która przez ostatnich lat kilkadziesiąt pozostawała pod jednym berłem z Polską, której dynastia nawet miała już polskie pokrewieństwa, nie była jeszcze w pełni krajem obcym. Zbyt wiele polskich orłów i litewskich pogoni splatało się na frontonach tutejszych pałacy z herbowymi mieczami Wettynów. Przesiedzieć, przeczekać, być w pogotowiu i w pobliżu, obojętne w jakim charakterze; oto były zapewne ostatnie złudzenia młodego kapitana. Przypuszczać należy, że z kraju oblano to zimną wodą. Sosnowski, w bliżej nieznany nam sposób, uporał się z kłopotami córki; król dawno od wszystkiego umył ręce; z kolei pewno i Czartoryscy mieli już dosyć tej sprawy która po swych romansowych zaczątkach poczynała teraz zatrącać posmakiem skandalu i „odorem garderoby". Nawet ci najwierniejsi sojusznicy Kościuszki nie życzyli sobie w tej chwili owego drezdeńskiego postoju. W tym miejscu ponownie zapada mrok, i dopiero w parę miesięcy później odnajdujemy nowe ślady naszego bohatera, ale już bardzo daleko od kancelaryj książęco-saskich. Jest lato 1776 roku, kiedy zjawia się w Filadelfii i pisze memoriał do Kongresu Monsieur Kościuszko. (Tylko Kościuszko. Siechnowicki już ostatecznie pozostał po tamtej stronie oceanu. Nie dotarł do Nowego Świata.)

W tym miejscu przywykliśmy zawsze dodawać: „...podobnie jak Pułaski, Lafayette, jak tylu innych...". Otóż wcale nie podobnie. Właśnie, że zupełnie inaczej. Nie będziemy się drożyć czy o więcej, i o ile więcej, niż rok, wyprzedził wszystkich tamtych, ale data wyjazdu na pola bitew amerykańskich ma też swoją wymowę. Nie było to wcale obojętnym kiedy kto w ciągu owych kilku lat walki spieszył brać w niej udział, ani pod wpływem czego to robił. W miarę jak różne echa docierały do Europy, różne kategorie ludzi spieszyły za ocean, i w różnych okresach, różni. Kiedy Kościuszko do niej wyruszył, sprawa amerykańska wyglą-

*) Rozdział z monografii p.t. „Kościuszko".

dała zgoła inaczej niż już w parę miesięcy później. Kongres nie był jeszcze uchwalił swej słynnej Deklaracji Niepodległościowej, nie zerwał wszystkich węzłów z Anglią, nie ogłosił kolonij odrębnym państwem: walki dopiero zaczynały się: tworzenie armii także. Wprawdzie gazety europejskie, zwłaszcza francuskie i hamburskie, rozbrzmiewały już rewolucją Bostonu, w Paryżu cieszono się żywiołowo z nowych kłopotów angielskich, a whista, ówczesnego bridża, nazwano nawet bostonem. Karciarze ówcześni, byli, jak widzimy, sympatykami Niepodległości. Ale były to tylko pierwsze fale nadchodzącej sławy. Słońce Ameryki wstawało nader powoli zza dalekich mgieł oceanu. Nawet ruchliwy Silas Deane i wspaniały Beniamin Franklin nie zjechali jeszcze do Paryża z pierwszą amerykańską misją. Interesy trzynastu kolonij sprawował rzutki autor „Wesela Figaro", oraz portugalsko i podejrzanie brzmiąca firma Hortalez and Co., która pod kierownictwem Beaumarchais, za pieniądze francuskie, pchała poprzez ocean ochotników, uzbrojenie i pomoc. Ale Beaumarchais i Hortalez kryli się dobrze i pilnowali pozorów. Ich statki szły z portów możliwie tak, aby nie zwiedzieli się o tym agenci angielscy. Dramaturgowi udało się to tak dobrze, że nigdy ani wtenczas, ani potem, nie miano się już dowiedzieć w jakich warunkach, wpośród pierwszych europejskich ochotników, dostał się do Ameryki Tadeusz Kościuszko.

W rok później, gdy wielkie słowa Deklaracji spadną na Europę jak huk dział, kiedy echa pierwszych większych walk a nawet bitew rozejdą się aż po Newę i Bosfor, do Ameryki podążą tłumnie ludzie pragnący sławy. Jeszcze później, kiedy sprawę amerykańską poprze orężnie Francja, jazda do Ameryki stanie się czymś niemal koniecznym, niemal modnym. W 1776 r. tak jeszcze wcale nie było. Bez sławy, w tajemnicy, a co więcej w zupełnej niepewności, udawali się tam za to ludzie, którym w Europie zabrakło pod nogami gruntu. Było tam nieco wojskowych, szukających na wojnie kariery, bo nie mogli zrobić jej w domu, dość wiele awanturników, szukających w rewolucji korzyści, a wreszcie pewna ilość ludzi którzy byli z tych czy innych przyczyn w buncie przeciwko światu który ich otaczał, zawiódł czy skrzywdził. W uczuciach tego rodzaju było bardzo wiele i z młodego Wertera. Zapewne wiele z młodego Wertera było wtedy w Kościuszce. Stracił to co mu było najdroższe, zderzył się z życiem szczególnie boleśnie, zraził się myślowo, a teraz i osobiście do tego starego porządku rzeczy. Zerwanie z tym wszystkim, rozpoczynanie wszystkiego od nowa, jakiś obcy, nieznany, świeży niemal jak w dniu Stworzenia, inny świat, walka podniesiona o wolność przez wolnych i równych ludzi, wszystko to musiało pociągać przecież więcej niż kariera saskiego kancelisty.

Był na morzach kiedy Kongres uchwalał swą słynną Deklarację. Ale kiedy tych co ją uchwalali ujrzał w szerokiej, pełnej ogrodów, Filadelfii, doznał pewno wielu uczuć zdziwienia. Owi członkowie Kongresu, których Europa widziała poprzez gazety jako zgromadzenie Cyceronów i Demostenesów, stąd widziani byli mniej wymowni, bohaterscy i rewolucyjni, bardziej spokojni, ostrożni i uparci. Pewno, że nie mieli najmniejszego zamiaru płacenia Anglii podatków, skoro ich nie uchwalili sami; ale bali się niemniej tych kosztów na które ich wojna narazi. Ochotnicy napływający z Europy nie wzbudzali w nich zaufania: byli to przeważnie Francuzi, z którymi kilka lat temu, prowadzono prze-

cież wojnę zakończoną zdobyciem dla Anglii Kanady; byli to ludzie niespokojni; mieli duże pretensje i wymagania. Kongres bał się własnego wojska; cóż zaś wojska pełnego kondotierów? Ale potrzebował fachowców. Właśnie od strony morza groził najazd floty angielskiej na siedzibę Kongresu; rzeka Delaware jest u ujścia szeroka, otwiera dogodne przejścia, lepsze niż leśne bezdroża lądu. U schyłku owego lata inwazja groziła od morza. Trzeba było fortyfikować ujście Delaware, i to nawet dosyć na gwałt. Koloniom które podniosły bunt nie brakło wprawnych strzelców, nie brakło i dzielnych jeźdźców; ale inżynierów nie było wielu. Wtedy to właśnie dla robót obronnych przed Filadelfią zaangażowano dwóch inżynierów przybyłych z Francji, gdzie sztuka inżynieryjna stała dobrze. Jednym z nich był Monsieur Kościuszko.

Niezbyt wiele wiemy o owych robotach fortyfikacyjnych, jako że, nie z własnej zresztą winy, nie zdały się na wiele. Flota angielska zaniechała forsowania rzeki, a gdy później padła Filadelfia, to została ona wzięta nie od morza, ale od lądu. Natomiast w rachunkach kongresowych zapisano ściśle że panowie inżynierowie Ramond de Lisle i Kościuszko otrzymali, tytułem wynagrodzenia za prace przy fortyfikacji dostępów do Filadelfii, funtów po 50. Kongres nie lubił wydawać pieniędzy, zwłaszcza na pensje wojskowym, czemu zresztą trudno się dziwić: państwo dopiero powstawało. Ale roboty umacniające ujście Delaware najwidoczniej ocenił. Bo też i sytuacja była ciężka. Anglicy właśnie zdobyli New York, armia Waszyngtona kluczyła po lasach, wśród utarczek, biedy, topnienia oddziałów i jesiennych deszczy, a u ujścia sennej, szeroko rozlanej Delaware, w progach Filadelfii, stały okręty brytyjskie. Na wzgórzach Billingsportu, piętrzących się wtedy nad rzeką iście dziewiczym lasem, obaj inżynierowie wyszkoleni we Francji poczęli z przygodnymi robotnikami sypać klasyczne szańce, reduty i forty. Kongresowi w pobliskiej Filadelfii musiało to przypaść do smaku, w październiku wychodzi nominacja, mocą której Mr. Taddeus Kościuszko zostaje pułkownikiem w armii amerykańskiej, z poborami 60 dolarów. Był to pierwszy uśmiech fortuny od bardzo długiego czasu. Zły los jak gdyby się przełamywał.

Pod wpływem klęsk, odnoszonych przez Waszyngtona, Kongres zagrożony od morza, zagrożony teraz i od lądu, wyniósł się z Filadelfii. Armia obca wydała mu się nareszcie znacznie niebezpieczniejsza od własnej; naczelny wódz, Waszyngton, uzyskał dzięki temu szerokie pełnomocnictwa wojskowe, rodzaj dyktatury, przynajmniej w armii. Jednocześnie z tym zbiegły się jego pierwsze wojenne sukcesy. Nazajutrz po święcie Bożego Narodzenia, niespodzianym uderzeniem pobił wojska angielskie pod Trenton. W parę dni później pogromił je pod Princetown: nowy rok wschodził pod dobrą gwiazdą dla powstańczych kolonij. Kongres wrócił do Filadelfii; gazety w Europie rozbrzmiewały chwałą; we Francji podniosła się silna fala życzliwych nastrojów. Tylko młode pozycje Billingsportu stały nie zaznawszy chrztu bojowego. Zdobyły tylko dla swych budowniczych pułkownikowskie szlify.

Tymczasem uzyskawszy większą władzę i świeżą sławę Waszyngton wzmacniał swoją armię północną. W tym kraju olbrzymich przestrzeni, słabego zasiedlenia, złych komunikacyj, wojna miała kilka odległych od siebie teatrów. Południowy, w dół od

Filadelfii, ku starym, arystokratycznym południowym stanom; Wirginii, Karolinom, był jednym. Północ, przyległa już do ciemnych borów i nieruchomych jezior Kanady, była drugim. Zdobyty niedawno przez Anglików Nowy York był jak klinem wbitym właśnie w owe stany Północy. A zwłaszcza Północ wydawała się krajem przyszłych rozstrzygnięć. Tam przecież rozpoczął się bunt. Siły tam skupiane, głównie z ludnego i wojowniczego stanu Massachusetts, zawisały w dodatku nad angielskim New Yorkiem, wiążąc część sił angielskich. Jednocześnie bliskość Kanady umożliwiała przenoszenie wojny jeszcze i na inny teren. Armia amerykańska nasycała się wciąż oficerami z Francji; Kanada nie tak dawno była jeszcze francuską, jej ludność była nią i dalej. Tak, Północ w ręku Amerykanów stawała się bardzo ważnym terenem a jej armia cenną częścią sił zbrojnych Stanów. Waszyngton wysłał był tam generała uchodzącego za dobrego wojskowego i człowieka lewicy, bo wpływy prawicowych lojalistów, wciąż pragnących porozumienia z Londynem, były jeszcze znaczne. Gates ze wszech miar wydawał się pewny. Zasilając go w oficerów, broń, nieco w pieniądze, szczodrzej w dobre rady, posłano mu nad jezioro Champlain pułkownika Kościuszkę. Był kwiecień, i o tej porze w tych stronach jest jeszcze zima, ostra, kontynentalna, śnieg zalega lasy niemniej gęste od litewskich, kiedy polski pułkownik zabrał się do fortyfikacji małego punktu nad jeziorem, zwanego Ticonderoga.

W niedawnej, a żyjącej tu we wspomnieniach, wojnie angielsko-francuskiej ów fort i parę innych rozrzuconych w tych stronach odegrały dużą rolę i były okryte sławą. Tym bardziej Anglicy starali się je teraz zająć, Amerykanie utrzymać. Młody pułkownik został przysłany tu właśnie, aby umocnić fortyfikacje. Nie szło tu to najlepiej. Yankesi byli dumnym narodem, nie chcieli słuchać cudzych rad; on, czując się cudzoziemcem, nie dawał ich zbyt śmiało. Wysłany na inspekcję pułk. Wilkinson stwierdzał że Kościuszko „is timidly modest" i amerykański komendant fortyfikuje swe pozycje wedle własnego, dość lichego, mniemania. Z kwatery armii szedł niebawem nakaz aby, w udoskonaleniu fortyfikacji iść ze „zdolnym młodzieńcem", „ręka w rękę", ale sam Kościuszko prosił Gatesa o danie spokoju interwencjom; „lubię zgodę i chcę być w przyjaźni ze wszystkimi, o ile to możliwe; gdyby się upierano i nie chciano wypełnić mojej idei, która mogła by być lepszą, pozostawiłbym im swobodę, tym bardziej że jestem cudzoziemcem i wiem, jak muszę być oględnym i ile względów winienem krajowcom; lecz robota moja nie byłaby przez to lepsza". Wcześniej i później nieraz podobne myśli i pod niejednym niebem wypowiadał emigrant.

W tym kraju lasów, jezior i zwierza, z rzadką ludnością Indian i jeszcze rzadszą traperów, forty takie, rozrzucone na skrzyżowaniach szlaków, u spływu rzek, u wejścia do przełęczy górskich, stanowiły o panowaniu nad krajem. Takim było i zdanie Kościuszki, gdy tu stanął. „Jeśli zdążymy zrobić okopy — pisał w maju, francuskim listem do Gatesa — tak jak w przesłanym przeze mnie modelu, dodając coś od strony jeziora, aby przeszkodzić przyjściu statków, twierdzę że nieprzyjaciel nie będzie w stanie nic nam zrobić. Mamy miejsce dobre nie tylko na to aby stawić opór, lecz nawet, aby pobić; trzeba tylko odwagi i więcej artylerzystów... Most jeszcze nie skończony, a należałoby to uczynić; nie mówię o robotach, spełnionych bezużytecznie; sam o tym bę-

dziesz sądził generale. Lubują się tu w stawianiu blokhauzów, i to w miejscach najmniej właściwych. Jednakże, Generale, zwyciężymy, mając ciebie na czele; samo nasze przywiązanie do ciebie uczyni wiele, nie mówiąc o świętym obowiązku, który każe nam bronić kraju. Jeśli nie można dostać drugiej kompanii artylerzystów należałoby ćwiczyć żołnierzy...” W tym pierwszym znanym nam liście amerykańskim Kościuszki splata się co słowo fachowość i zapał.

Ale Gates nie długo już miał pozostawać na czele owego frontu. Jeszcze w maju przywrócono forty nad jeziorem pod Komendę Schuylera; w następstwie generał Gates wrócił do centrali. Schuyler objął komendę nad całymi siłami na Północy. Nie był to zły oficer. Był to nawet w owych czasach jeden z najlepszych fachowców wojskowych jakimi rozporządzali Amerykanie; miał za sobą nie mniejsze od innych karty służby wojennej w owej niedawnej wojnie anglo-francuskiej o Kanadę; a innych generałów, zwłaszcza Gates'a przewyższał na pewno tym, iż doceniał należycie znaczenie jakie dla armii posiada sprawa dostaw. Ale był to nowojorski Holender z pochodzenia, zamożny i obrotny właściciel ziemski, trzymał żołnierzy ostro, miał pełno związków z nowojorską arystokracją, tą właśnie która o tym czasie nader ciepło witała Anglików. Armia Północna składała się zaś z ochotników północno-amerykańskich. Była to typowa zbieranina z New England, przede wszystkim zaś z owego Massachusetts, którego stolica, Boston, tak się wsławiła w pierwszych walkach. Byli to mali farmerzy, rzemieślnicy, traperzy: byli to demokraci i Yankesi: nie lubili arystokratycznych Holendrów, konserwatywnych obszarników i wojskowego drillu, a dla nich Schuyler łączył w sobie to wszystko. Był on też niepopularny aż do pomawiań o zdradę. W gruncie rzeczy był tylko ostrożny i nieufny. Plany fortyfikacyjne jakie przedłożył mu pułkownik Kościuszko nie wydały mu się realne. Czyż było istotnie możliwym, jak to zakładał ów Polak, wywindowanie ciężkich dział na górę panującą nad fortami? Wszyscy inni inżynierowie orzekli byli że nie, tylko Gates zawierzył był przedtem Kościuszce. Ale Gates... Gates i Schuyler, to były dwa przeciwstawieństwa; Kościuszko w ogóle przypadł był mu do smaku. Sam Kościuszko przyjął jak najgorzej wiadomość o odejściu Gatesa; „czułbym się szczęśliwy, będąc z tobą gdziekolwiek bądź” pisał do niego, prosząc o zabranie ze sobą. Kościuszko został jednak gdy Gates odjechał. Schuyler mniej ufał talentom polskiego inżyniera. Plan wydźwignięcia dział na wysoką górę nad fortem wydał mu się fantazją; lepiej umacniać samą Ticonderogę. Umacniano ją więc, pewno tak jak o parę tygodni wcześniej, gdy na widok niezdarnych robót pisał alarmująco Wilkinson: „Niech Kościuszko tu wróci na miłość boską jak można najwcześniej”.

Ale tymczasem na wodach jeziora Champlain ukazali się Anglicy. Prowadzona przez „Lady Mary”, z rozwiniętymi sztandarami i przy pomyślnym wietrze płynęła wzdłuż leśnych, znieruchomiałych pustką brzegów, flotylla generała Burgoyne'a. Wiozła na swych statkach regularne oddziały angielskie, niemrawych, zaciężnych Hessów sprzedanych Anglii przez własnego księcia po 36 dolarów od sztuki, trochę Kanadyjczyków, nieco czerwonoskórych. Od południa; z New Yorku, ruszyła na jej spotkanie inna jeszcze wyprawa angielska. Armia Północna miała się tak dostać we dwa ognie. Już jeden z nich wystarczał zupeł-

nie. Przebywszy jezioro, Anglicy zajęli przedpole Ticonderogi, po czym ich działa ukazały się akurat na górze, której ufortyfikowanie wszyscy prócz Kościuszki uważali dotąd za niepodobieństwo. Obóz amerykański leżał odtąd pod obstrzałem wroga. Toteż został opuszczony, co stało się w takim pośpiechu i popłochu, że dwieście armat, oręż, sprzęt, odzież i żywność, bardzo cenne w tych warunkach, stały się łupem Anglików. Ticonderoga padła. Amerykanie schronili się na wyspę Van Scheik, na jeziorze. Ufortyfikował ją był Kościuszko. Ów lipiec na północy nie zaczął się był zbyt pomyślnie.

Członkowie Kongresu, zwłaszcza ruchliwi przedstawiciele z Massachusetts odnosili się do Schuylera nie lepiej, niż jego właśni żołnierze. Toteż klęska spowodowała uchwałę o dymisji i postawienie pod sąd winnych. W sierpniu powrócił Gates. Był równie dobrze dobrany do tych ludzi jak Schuyler do nich nie pasował. Był to Anglik, syn biednych rodziców, oficer zawodowy który odznaczył się w wojnie anglo-francusko-hiszpańskiej, zdobywał Martynikę, był nawet wysłany do Londynu, aby zameldować królowi o jej wzięciu. Potem porzucił służbę, a jeszcze potem, ściągnięty przez Waszyngtona, osiadł w Ameryce. Był to typowy whig, niecierpiący arystokratów, czujący swą jedność z pospólstwem, z ideami nowymi, z równością, z rewolucją. Z samym jego przybyciem nastroje uległy zmianie. Gates postanowił zagrodzić drogę pochodowi Burgoyne'a. Nie można było dopuścić aby ten generał angielski schodząc w dół z biegiem Hudsonu spotkał się wreszcie z ową ekspedycją angielską, która szła w górę rzeki. Trzeba było wybrać miejsce przez które Burgoyne musiałby przechodzić, oszańcować się tam i czekać. Kto miał je wybrać i umocnić? Gates już przedtem nabrał widocznie zaufania do owego polskiego inżyniera, bo misję poruczono Kościuszce.

Olbrzymi, potężny Hudson przelewa się w tych stronach jak masa wód która wypełniła sobą wielki jar. Ściana skalna sterczy zaporą: na Zachód od rzeki rozpoczynają się górskie bezdroża. Góry okoliczne porastały lasem, jak łanem olbrzymim. Wśród tego, opodal od niewielkiej wioski indyjskiej, w pobliżu samotnej karczmy, falowały wzgórza które wydały się wysłannikowi najlepsze. Miejsce zwało się Behmis Heights: wioska indyjska przed nim nosiła nazwę dźwięczną, jednako egzotyczną dla Anglosasów, Holendrów, Francuzów czy Polaków. Nazywała się Saratoga.

W owej wojnie, toczonej niewielkimi siłami na olbrzymich przestrzeniach, dwie rzeczy miały odgrywać decydującą rolę: jazda i fortyfikacja. Fortyfikacja pozwalała uchwycić jakiś ważny punkt — przeprawę przez rzekę, przełęcz, szlak, port — trzymać go i przeciąć drogę nieprzyjacielowi. Jazda mogła szarpać najeźdźców w pochodzie, odcinać im dostawy żywności, ogołacać z niej kraj nieprzyjacielski, przerzucać szybko siły własne. Kościuszko należał właśnie do jednego z tych rodzajów broni które miały być tu tak bardzo przydatne. Był inżynierem, fortyfikatorem i artylerzystą. Armia Północna, sklecona z ochotników niewyćwiczonych, źle uzbrojonych i niesfornych nie mogłaby jeszcze zapewne stawić czoła regularnym wojskom angielskim na otwartym polu. Fortyfikacje wyrównywały szanse. Rąk do pracy na szczęście nie brakło. Owo pospólstwo znacznie lepiej władało łopatą i siekierą, niż bagnetem. Niebawem, na wzgórzach nad ciemnym, majestatycznym Hudsonem poczęły rość zarysy szań-

ców, redut i fortów: w puszczy obok huczała siekiera, waliły się ze skrzypem wiązy i buki. Ci sami milicjanci-ochotnicy którzy wszędzie wietrzyli zdradę, wołali gwałtu na dyscyplinę, nie znosili ćwiczeń, parad i obrotów, okazali do tej pracy zdolności, zapał i zrozumienie. Wydawała im się ona znacznie pożyteczniejsza niż zawiła a jałowa musztra. Toteż gdy we wrześniu Burgoyne zbliżył się do Saratogi, oczekiwała go tu zapora wojenna, jakiej jeszcze w owej wojnie nie było. Przed samym frontem szańców amerykańskich biegła niewielka rzeczka. Nawet teren był wyzyskany zatem w taki sposób, który by i dzisiaj zadowolił sztabowców.

Wódz angielski ocenił to pewno najlepiej. Lieutenant general John Burgoyne, szef owej ekspedycji ciągnącej z Kanady, był starym, doświadczonym wojskowym. Nie umniejszało jego wiedzy ani to, że był znanym w owym czasie dramaturgiem i jego sztuki teatralne były nader wzięte w ojczyźnie Szekspira: ani to, że jego żona, córka hrabiego Derby, w inny nieco sposób objawiała swój kult dla sceny, płodząc generałowi przy skutecznej pomocy pewnego śpiewaka szereg nieślubnych dzieci. Burgoyne miał za sobą wojnę siedmioletnią, wojnę z Francją, wyprawę do Portugalii. Dokonywał swego czasu śmiałych wypadów na brzegi francuskie, wyprzedzając tak o dwa stulecia późniejszych comandosów. W czasie pokoju organizował lekką jazdę angielską. Wojna amerykańska, rozumowano w Londynie, potrzebuje właśnie takich harcowników, zagończyków, kawalerzystów z brawurą; wysłano więc Burgoyne'a. Powinien się był nadawać znakomicie.

Tymczasem warunki wojny amerykańskiej nie były tak bardzo podobne do francuskich czy portugalskich, a już najmniej do owych wypadów, gdy tuż za plecami był brzeg angielski, a na morzu opiekuńcze fregaty Royal Navy. Za to pod niejednym względem przypominały nowoczesne kampanie afrykańskie między 1940 a 1943. Tu także były olbrzymie przestrzenie, niemożność zaopatrywania się po drodze, kapitalne zagadnienie własnych baz, od których nie wolno było zbyt daleko odbiec, a jeszcze mniej dać się odciąć. Idąc ku Saratodze, Burgoyne bardzo się był oddalił od swoich kanadyjskich baz. Przy bezdrożach i prymitywnych środkach komunikacji mógł posuwać się nader wolno. Im szedł dalej, tym bardziej kąsali go z boków, jak komary unoszące się nad bagiennymi brzegami jeziora, partyzanci amerykańscy. Owo traperskie, krewkie i sobiepańskie społeczeństwo Północy równie celnie strzelało z zasadzki, jak uwijało się z łopatą czy siekierą. Oddziały, wysyłane po prowiant w głąb kraju nie wracały do obozu angielskiego, a kontakt listowny z ową ekspedycją która miała iść na spotkanie, od Południa, urwał się także. Na górach buki i wiązy poczęły pokrywać się złotem i czerwienią, dnie stawały się krótsze, o świtaniu brał ziąb. To były pierwsze dzwonki ostrzegawcze nadchodzącej zimy. Burgoyne był żołnierzem i nie reagował na nie. Ale jego ochotnicy kanadyjscy i czerwonoskórzy alianci znali lepiej prawo lasu, niż regulamin wojskowy. Nie namyślając się wiele, zawrócili do domu. Jakżeż ich można utrzymać? Byli ochotnikami, albo sprzymierzeńcami; nie obowiązywała ich przysięga, jak żołnierzy angielskich, ani umowa, jak niemieckich. — Armia generała Gatesa również składała się z ochotników i opierała się koniec końców tylko na dobrej woli, i Gates sobie dawał z tym radę. Tylko że Gates to był właśnie

rewolucyjny i społeczny wódz, a przeciętni zawodowi wojskowi, jak Schuyler czy Burgoyne, stawali bezradni tam, gdzie się kończyła moc magiczna rozkazu.

Kanadyjczycy i Indianie nie stanowili lwiej części sił Burgoyne'a. Ale dopiero gdy ich zabrakło, a pochód trwał dalej, doceniono, że w owych marszach leśnych, zwiadach, obozowiskach, byli niezastąpieni. Oni osłaniali trzon sił Burgoyne'a przed partyzantką amerykańską, niespodziewanymi a zawsze celnymi strzałami traperów, niebezpiecznymi zasadzkami leśnymi. Wreszcie nieprzyjaciel przyjął walkę na redutach ziemnych Behmis Heights. Było to 19 września. Ten pierwszy szturm angielski się nie udał. Na szańcach przez siebie wzniesionych młody pułkownik przeszedł swój ogniowy chrzest; jego dzieło zdało egzamin. Przygotowanie do drugiego zajęło generałowi Burgoyne sporo czasu. W ciągu niego zachodni skraj pozycyj amerykańskich wzmocniono nowymi szańcami. Nie było to już trudne do zrobienia, albowiem na wieść o pierwszym sukcesie nadciągnęli tłumnie nowi ochotnicy do armii Gatesa, jak przedtem uciekali od Schuylera. Wśród nowych ochotników przybyłych z puszczy pełno było doskonałych strzelców. Ci podkradali się pod obóz angielski sprzątając pojedyńczych żołnierzy, co, rzecz jasna, nie poprawiało tam nastrojów.

Nowy szturm, w pierwszych dniach października, udał się jeszcze gorzej niż pierwszy. Burgoyne cofnął się po nim na dobre do swego obozu pod Saratogą: tu, czekał. Przecież od południa powinna nadciągnąć wreszcie owa druga ekspedycja angielska: kleszcze podwójne, skierowane przeciwko Armii Północnej, powinny były się zamknąć? Ale owe drugie ramię tych kleszczy także ugrzęzło w lasach, szczerbiąc się o inny fort amerykański, nad dolnym biegiem Hudsonu. Kleszcze nie miały zamknąć się nigdy. Zima nadeszła prędzej. W końcu Burgoyne nakazał odwrót. Ale zagończycy nie umieją się cofać. Odwrót Burgoyne'a, dokonany późno, utrudniany przez partyzantkę amerykańską, zakończył się bardzo prędko. 17 października jego sześciotysięczny korpus angielski złożył broń, w okolicach owej wsi indyjskiej którą miał tym wprowadzić do historii. Była to Saratoga.

Po raz pierwszy w historii jakaś poważna, zaprawiona w bojach armia, poddawała się młodziuśkim, niewprawnym jeszcze siłom tego powstańczego państwa. Toteż i zwycięzcy i zwyciężeni patrzyli na siebie z pewnym zażenowaniem. Przerażoną była za to na dobre baronowa Rheinfuel, żona brunswickiego generała, dowódcy zaciężnych żołnierzy niemieckich który w międzyczasie zmarł. (Jak widzimy, ów generał należał do tych generałów co to mają piękny zwyczaj wybierania się na boje jak do teatru: z małżonką.) Wystraszona Niemka drżała teraz o siebie, zwłaszcza gdy skierowano ją do namiotu generała Gatesa. Trzeba było długich perswazyj, żeby baronowa zrozumiała, że nie ulegnie oskalpowaniu ani innym prawom zwycięzcy, a tylko dowódca amerykański udziela jej najwygodniejszej w tych lasach gościny.

Powitanie obu wodzów było znacznie prostsze. Na polanie pod Saratogą podeszli właściwie do siebie dwaj rodacy, niegdyś oficerowie tej samej królewskiej armii. Tylko że teraz prostacki syn ochmistrzyni u księcia Leeds brał w niewolę wytwornego wychowanka Eton i zięcia Lorda Derby.

— Cieszę się że pana widzę, powiedział skromnie Gates na widok Burgoyne'a.

Tamten był mniej zachwycony:

— Ja myślę, burknął: the fortune of the day is entirely yours!

Od początku wojny wojska amerykańskie nie odniosły podobnego zwycięstwa, a wojska angielskie takiej klęski. Pierwszym przyszła ona ogromnie w porę. Na Południu bowiem działo się w tym czasie zgoła inaczej niż na Północy. Armia angielska idąca na Filadelfię nie miała tu tych trudności, na jakie natrafił Burgoyne, a przeszkody na jakie natrafiła były łatwiejsze do pokonania niż szańce na Behmis Heights. Jerzy Waszyngton, który zastąpił był drogę Anglikom poniósł kolejne klęski nad Brandywine i pod Germantown. Kongres raz jeden jeszcze musiał uciekać z Filadelfii. Zajęli ją Anglicy. Milicja, która w lesie i za osłoną fortów stawała dzielnie, nie posiadała dostatecznego wyszkolenia aby oprzeć się w polu regularnej, dobrze wyszkolonej armii angielskiej. Jej resztki schroniły się w lasy, gdzie w Valley Forge była teraz kwatera Waszyngtona.

W życiu naczelnego wodza sił amerykańskich był to okres jeszcze cięższy, niż w dziejach młodziutkiego państwa. Klęski jakie poniósł owej jesieni bardzo osłabiły jego autorytet, i przeciwnicy, których posiadał w Kongresie, a także i w armii, podnosili teraz głowę. Saratoga spotęgowała to jeszcze. Wszędzie na ustach był zwycięski Gates. Dlaczego na Północy były sukcesy, a tutaj tylko same klęski? Wojna poczynała odbijać się na żywności, której brakło, na pieniądzu, który szczodrze drukowany przez Kongres nie wzbudzał zaufania, na ciężary jakie wymagała ta walka, z entuzjazmem zaczęta. Zwolennicy pojednania z Londynem przybierali na siłach. W tej sytuacji pokazywano sobie tym bardziej licznych już teraz ochotników europejskich przybyłych z Europy na wieść o walce za wolność. Ich barwny poczet zaczynał Lafayette. Dwudziestoparoletni markiz, zięć francuskiego ministra, księcia de Noailles, który zakupił był okręt i na własny koszt przewiózł grono ochotników, którego przyjazd narobił tyle hałasu w Londynie, który nie chciał przyjąć poborów, był, oczywiście, najbardziej popularny. Niezawodnie zaraz po nim szedł inny ochotnik, mniej możny i arystokratyczny, zato znacznie bardziej egzotyczny. Wywierał wspaniałe wrażenie już swą rycerską postawą, pięknymi wąsami i bogatym mundurem. Wiedziano zresztą o nim, że walczył we własnym kraju o wolność, i że ścigano go listami gończymi po Europie za targnięcie się na majestat monarszy. Nie była to zbrodnia która w Ameryce wzbudzałaby zbyt wiele grozy. W Ameryce zjawił się z najlepszymi poleceniami. Pisał o nim Franklin, popierał go Lafayette, cenił Waszyngton. Był to nowy gość z Polski. Nazywał się hrabia Kazimierz Pułaski. Z formowaną przez siebie kawalerią amerykańską, nader potrzebną wobec czerwonych angielskich dragonów, stał właśnie na leżach zimowych w Trenton. Był grudzień, nadchodziło Boże Narodzenie, kiedy z północy, robiąc ponad dwieście mil konno, zjawił się naraz ośnieżony rodak spod Saratogi, Tadeusz Kościuszko.

Te dwa nazwiska wymawia się dzisiaj jednym tchem. Spotyka się je na tych samych kartach historii. Ich pomniki zdobią ten sam skwer w stolicy Stanów. Dlatego przywykliśmy już widzieć ich razem. Jak braci. Trzeba dopiero skąpać swą wyobraźnię jak błonę filmową w rozczynie czasów i faktów, aby zrozumieć jak ogromnie różni byli ci dwaj bracia. Kazimierz Pułaski był prawdziwym synem owej Polski wierzącej, tradycyjnej, porywczej

i ciemnej. Słuchał księży, nosił szkaplerz, sławił wszystko co polskie, miał w pogardzie co obce. Czuł się nieswojo z książką, znakomicie na siodle. Za oficerów dobierał tu sobie najczęściej pełnych kawaleryjskiej fantazji Francuzów, a za żołnierzy nawykłych do drillu jeńców-Hessów. Za to z ludową milicją nie bardzo sobie radził. „Był to prawdziwy szlachcic polski" pisał z uwielbieniem jego towarzysz i pamiętnikarz, ów, wzywany już przez nas na świadka, pan Maciej Rogowski. Lafayette wspominał o nim, że „il voulait être Polonais partout": było to mniej więcej to samo co pisał Rogowski, lecz w cieniu pewnej, może nie tak pobłażliwej, krytyki. Nawet fizycznie, Kościuszko był zupełnie inny; jakże mniej zabijacko świetny od tego Murata amerykańskiej rewolucji! Był inżynierem, nie kawalerzystą, wyszedł ze szkoły kadeckiej, a nie jezuickiej, dojrzewał w Paryżu, nie na sejmikach, znał się lepiej z książką, niż z szablą, a Voltaire i Rousseau zastąpili mu dawno kaznodziei karmelickich i żywoty świętych. Ci ludzie należeli do dwóch sobie odrębnych światów. W swej ojczyźnie znaleźli się nawet łatwo w dwóch wrogich obozach. Ten król którego jeden z nich chciał porwać, był protektorem drugiego. Gdyby wojna secesyjna działa się za ich czasów, ujrzelibyśmy na pewno Pułaskiego wśród barwnej jazdy Południa, gdy Kościuszko walczyłby w szeregach yankeskiej Północy. Ale teraz obaj byli wygnańcami. Pomiędzy nimi, a ich krajem, rozpostarł się jednako niezmierzony ogrom oceanu, mglistego i chłodnego o tej porze roku, nieumniejszonego jeszcze ani pochodem techniki, ani zdobyczami czasu. A było to właśnie Boże Narodzenie.

I znowu, trzeba pamiętać o tym, że Boże Narodzenie jest dla Polaków czymś wielekroć innym i większym niż dla tylu innych narodów. W osiemnastym wieku było nim jeszcze bardziej. Zachowało jeszcze więcej owych odrębnych, dziwnych, obyczajem ustalonych potraw, miało ceremoniał obrzędowy znacznie bogatszy, pieśni wiele więcej. W tym święcie, ujętym od wieków w ramy religii chrześcijańskiej, przechowały się strzępy jakiejś przedchrześcijańskiej, słowiańskiej i pogańskiej, przeszłości. Tak samo msza jest spleciona z urywków psalmów hebrajskich, tak samo do świątyń chrześcijańskich brano kolumny z Akropolu. Boże Narodzenie było w Polsce prawdziwym misterium, narodowym i uczuciowym, w którym łączyli się i ci co nosili szkaplerze, i ci co nie mówili nawet pacierza. Rzuconych daleko za ocean łączyło tego wieczoru jeszcze silniej z ojczyzną daleką, — i ze sobą, jak tym śniegiem co padał za oknami przesłaniało wszystko co mogło różnić i oddzielać.

* * *

Śnieg, który owego schyłku 1777 roku okrył był obficie drewniane domy Trentonu, ośnieżył jeszcze potężniej tam, za oceanem, szerokie równiny Polski. W Równem, na dumnym zamku książąt Lubomirskich, obchodzono Boże Narodzenie nie mniej tradycyjnie, a na pewno jeszcze bardziej uroczyście. Były wszystkie po temu przyczyny. To też zjechały się, w najściślejszym gronie, obie niedawnym związkiem małżeńskim połączone nareszcie rodziny, Lubomirskich i Sosnowskich.

Nie wiele miał już takich świąt przed sobą sędziwy wojewoda smoleński, ale owo Boże Narodzenie spędzone w gościnie u młodego zięcia należało z pewnością do najszczęśliwszych w tym

strudzonym i krętackim życiu. Po niedawnych chmurach znowu w pełni zajaśniało słońce. W nagrodę długoletnich zasług dla ojczyzny król przysłał był mu buławę polną litewską; córka była księżną panią; o awanturniczym kapitanie słuch zaginął dzięki tej całej egzotycznej, nieocenionej Ameryce. Myśląc czasem o tym, jako o nieprzyjemnym zakręcie tuż przed samą metą całej życiowej drogi, Józef Sosnowski dochodził stanowczo do wniosku, że odkrycie Kolumba było rzeczą nader pożyteczną, a wojnie amerykańskiej życzył, by trwała jak najdłużej. — Doprawdy, na każdym polu powodzenie wieńczyło wszystkie jego wysiłki. Świetnemu związkowi z Lubomirskimi towarzyszyło już nawet widome błogosławieństwo Boże: w kolebce, na zamku w Równem, było już nawet parotygodniowe dziecko, mały Lubomirski, przyszły pierwszy ordynat na Przeworsku, wnuk hetmana Sosnowskiego, syn Ludwiki.

JULIAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

FRAGMENT

. . . .
. . . .

W tych czasach autor tej gawędy,
Dla różnych swoich wad i przywar,
Których mu Stwórca nie poskąpił,
Salonów jeszcze nie dostąpił.
A w kuchni już nie wysiadywał.
Bo dawniej, w swem chłopięctwie lubem,
Gdy spleen dziecięcy go ogarniał,
Kuchnia mu była pierwszym klubem,
Jak potem knajpa i kawiarnia.
Następnym był już Pen Club. (Sorry!
Wolę ten łódzki do tej pory).

„Od kuchni" było wejście życia:
Wrywało się to obce, rzadkie,
Nowiną nęcąc i przypadkiem...
Otworzyć było drzwi kuchenne
I wpadał wiatr, innością tchnący,
Pomiędzy biedą i dostatkiem.
Tak między „słotą" i „pogodą",
Niepewna czy się niebo przetrze,
Waha się igła w barometrze...
Nasza domowa w Łodzi mrocznej
„Pochmurno" miała w średniej rocznej.

Od drzwi kuchennych do frontowych
Tam i z powrotem wiodły drogi
Mieszczańskiej naszej socjologji —

I tak się węch klasowy budził,
Zdecydowany p o d z i a ł l u d z i:
Od frontu „pan" przychodził, „pani",
Od kuchni — „człowiek" lub „kobieta",
Tutaj — „znajomi", tam — nieznani,
Tu — my, tam — oni, jacyś, skądciś,
Którym zakazał ktoś przez front iść...

Od kuchni przychodzili biedni
Po darowany chleb powszedni,
W mróz sine ręce rozgrzewali
Nad czerwonymi fajerkami,
Chciwie gorącą zupę jedli —
Grochową, gęstą, z zacierkami.
Czasem, jak echo starej pieśni,
Muzyce maszyn nierówieśnej,
Pół-fantastyczny, jak z Nestroya,
Wędrowny zjawiał się rzemieślnik,
Ostatni świata obywatel
Dumny, że jest obieżyświatem.
Tam zdun mogilny w piecu gmerał
I z białych kafli go odzierał
Do czerwonego mięsa cegieł.
Chrapał jak we śnie, rzęził, sapał,
Z trudem, jak piec, powietrze łapał...
Patrzyłem, jak się paprze, grzebie,
Rękoma grzęznąc w glinnej mazi,
A kiedy za głęboko właził,
Grabarzem był samego siebie.
Tam czarny handlarz chałatowy
Wzrokiem skupionym i surowym
Pod światło badał spodnie stare;
A tak je wznosił przed oczyma
I rozpostarte w rękach trzymał,
Jak kantor, kiedy w nabożeństwo
Podnosi torę znad ołtarza...
Gdyby wypadły z rąk handlarza
Zostałoby — błogosławieństwo.
Prało się w kuchni. Dzień parował,
Pienił się, syczał. W balji puchła
Mydlana burza kolorowa...
Bajeczne pieśni bulgotała
Mirażem opłynięta kuchnia.
Nad balją baśni, zgięta stała
Domowa nasza praczka stara,
Wróżka tych dni, Teodorowa.
O karbowaną blachę pralki
„Kolory" tarła, lub „kawałki"
Chabrową spłókiwała farbką...
Zmarszczona jak pieczone jabłko,
Chudziutka, krucha i maleńka,
Tak czule żyje we wspomnieniu,
Gdy Mamie mówi po imieniu,
A na bieliznę — bieliźnieńka.
Zwano ją u nas „Kociołeczek"
I zawsze dostawała w kuchni

„Tyciusiunieczki naparsteczek"
Swej ulubionej „cytryniuchny".
— Musi być w raju dziś. I wierzę,
Że tam aniołom suknie pierze,
A czasem krochmalony duch jej
Odwiedza starą łódzką kuchnię.

„Drobiara" przychodziła. Wdowa
Po gałganiarzu. Twarz jak ziemia.
Bogini nędzy i cierpienia,
Godna, by wszędzie, gdzie się zjawia,
Antyczny chór się wkrąg ustawiał
I groźne rozpoczynał pienia.
Biegła przez miasto jakby pomór
Ją gnał. A gnał. Na dzieci czyhał.
Od jego tchnienia i pogromu
Pędziła za zarobkiem, dzika,
Zaciekła, trwogą oszalała
O „kindełach", o dzieci... Miała
Jedno przy piersi roztarganej,
Dwoje przy kiecce uszarganej,
A czworo czekających „w domu":
W kącie wysłanym zgniłą słomą.
Byłem tam z mamą. Zanosiłem
Tłumok starzyzny i posiłek.
Leżała chora na barłogu,
Zmierzwionym, stęchłym i skopanym,
Jak barłóg suki obłąkanej,
Niemiłej, widać, psiemu bogu.
Po kobiecemu zawstydzona,
Starała się uśmiechać do nas,
Zgarniała słomę koło siebie,
Lecz widać było, że myślami
Pędzi po piętrach z kurczętami,
Chleb zdobywając dla swych dzieci,
I marzy tylko o tym chlebie...
Kindełach zbiły się w gromadkę,
To na nas patrząc, to na matkę...
Byliśmy u niej po raz drugi,
Byliśmy u niej po raz trzeci,
Nie byliśmy na jej pogrzebie...

I kuchennemi przyszła drzwiami
Antosia, wieszczka ze wsi, saga,
Indyjska wieszczka spod Konina
(Gmina Golina). Bunt, odwaga,
Hardość z wesołych oczu tryska...
Ach, te jej oczy gorejące
Jak hebanowe dwa ogniska!
Koścista, żółtozębna, ciemna
(Takie są noce u mongołów,
Takie cyganki u aniołów)
Przyszła mędrczyni niepiśmienna...

. . . .
. . . .

MARIA KUNCEWICZOWA

SZEKSPIR W WARSZAWIE

„Warszawa na wiosnę jest piękna: oto jej ulice, place i parki przepełnione tłumem: młodzi ludzie o uśmiechniętych twarzach, ubrani wedle ostatniej mody a z pewną nonszalancją, którą można widzieć tylko w wielkich miastach — piękne kobiety przechadzają się w małych, zgrabnych pantofelkach, zasłaniając twarze parasolkami przed słońcem i przed zbyt śmiałymi spojrzeniami mężczyzn — miłe siwe matrony pilnujące córek — dzieci — kobiety i mężczyźni wszystkich stanów — bogaci i ubodzy — a w tej ciżbie ludzi, tu i tam, żandarmi rosyjscy ubrani w świetne mundury. Lecz któż dba o to w piękne popołudnie wiosenne, jeśliby nawet milion oczu nienawistnych śledziło wokół. Lekkomyślni i weseli są warszawianie, a w każdym razie takimi się wydają na zewnątrz. Katastrofa, która ledwo sześć lat temu wstrząsnęła narodem do podstaw, nie zostawiła widocznych śladów na jego żywotności. Życie zdaje się być wypisane na twarzach, drga w każdym spojrzeniu; całe miasto zdaje się być nim przepojone, a nurt wzajemnej życzliwości jest tak silny, że przechodnie mijają się z uśmiechem, gotowi mienić się przyjaciółmi. Przebywanie w tłoku daje zazwyczaj niemiłe doświadczenia, lecz jest naprawdę przyjemnie poruszać się między tym szczęśliwym tłumem, złożonym z uciśnionego ludu".

Tak w pamiętnikach swoich, wydanych w 1910 r. w Nowym Yorku, opisuje Warszawę popowstaniową Helena Modrzejewska, jedna z najbardziej fascynujących aktorek, jakie kiedykolwiek odsłaniały tłumom sekrety losu i serca. Modrzejewska, dziecko Krakowa, przez męża związana była raczej z Poznaniem. W Warszawie jednak doświadczyła pierwszych upojeń sławy oraz znalazła wiernych do śmierci wielbicieli. W Warszawie również odkryła okrutne wyrafinowanie życia. Poznała — w świetle rzeczywistości — szekspirowskie antynomie bytu.

Bo jakiegoż to kraju stolicą była ta Warszawa, gdzie na wiosnę życie zdawało się być wypisane uśmiechem na twarzy każdego przechodnia?

Stolicą kraju wstrząsanego nieustannym buntem przeciw śmierci.

Namiestnik, którego przedstawicielstwem w tłumie warszawskim byli żandarmi w świetnych mundurach, czynił wszystko co jest w złej ludzkiej mocy, by radość życia w Polsce zabić. Szkoła Główna, ognisko niezależnej myśli, przekształcona została na placówkę oficjalnej propagandy. Profesorowie i studenci Polacy musieli iść w świat, by ocalić swobodę naukowej pracy. Jak wyglądał dzień szkolny warszawskiego dziecka w tej epoce, wynika ze wspomnień Marii Skłodowskiej-Curie. W latach siedemdziesiątych było to również, kiedy mała Maniusia Skłodowska słuchała wykładu o przeszłości swego kraju, zamierając ze strachu na głos dzwonka, który zwiastował wizytę inspektora. Drżącymi rękami chowała pod ławkę polskie książki, chwytała robótkę i niebawem, pod okiem nieżyczliwego urzędnika, recytowała najpierw „Ojcze Nasz" po rosyjsku, a później tytuły i godności „miłościwie wówczas panującego Polakom Cesarza Wszechrosji".

Podczas gdy bzy kwitły w parkach Warszawy, jej najlepsi obywatele schli w więzieniach, kołysali się na szubienicach, krwawili i marzli na Sybirze.

„Weseli i lekkomyślni są warszawianie, a w każdym razie takimi wydają się na zewnątrz". Rzeczywiście — „na zewnątrz". Bo nawet w kołach wyznawców Comte'a i Spencera, przeciwników romantycznej polityki, zwolenników pracy organicznej, niepokojono się i rozpaczano. Cóż mówić o wzburzeniu żywiołów lewicowych! Środowiska te czerpały szczególną podnietę z faktu wojny francusko-pruskiej, a także z akcji Garibaldi'ego. Jarosław Dąbrowski właśnie wtedy był przewódcą Komuny Paryskiej i miał wkrótce zginąć na jej barykadach. Mierosławski usiłował związać polski ruch podziemny ze sprawą wyzwolenia ludu włoskiego.

Za kulisami błogiej wiosny działy się więc te wielkie „rzeczy, o których nie śnią filozofowie". Tajemnicze niebo Szekspira, naładowane burzą uczuć, drżało nad beztroską Warszawą.

Modrzejewska od najwcześniejszych swoich lat aktorskich czuła, że sekret sztuki leży poza teatrem. Ucząc się roli Julietty, chodziła wieczorami po ogrodzie i wracała przed słońcem, mówiąc swoje kwestie tak, żeby głos nie kłócił się ze szmerem liści, z ćwierkaniem ptaków, a jednak był przez ludzi słyszany.

Grała zawsze, jak najczulsza struna, nieskończenie wrażliwa na atmosferę. Grała nie tylko dla publiczności, zgromadzonej w sali, lecz także jak gdyby w jej imieniu, dla tego nieczułego świata, obojętnego na istnienie dusz.

Warszawa wzbogaciła bez miary jej wiedzę o człowieku, a przez to i skalę jej sztuki. W domu jej schodzili się artyści, dziwacy i konwencjonaliści światowcy. Każdy z nich wnosił między przyjaciół, oprócz swojej prywatnej historii, odmienny aspekt polskiego szaleństwa.

Oto na przykład Chełmoński wchodził do salonu grając na fujarce. Lokaj oznajmiał go, goście milkli, a on grał na progu, otulony w burkę, jak gdyby pragnął przypomnieć intelektualnym mieszczanom, że polska melodia gra się dalej; że ona gra się ciągle w lasach i na polach.

Oto Witkiewicz Stanisław. Dzieckiem będąc, towarzyszył ojcu w jego wygnaniu na Syberię. Osierocony, od 14 roku życia zarabiał na matkę i siebie. Zdawałoby się, że z tak twardych początków wyrośnie człowiek żelazny. Wyrósł esteta, twórca sztuki dekoracyjnej, opartej na tatrzańskim folklorze. Polski Ruskin.

Adamowi Chmielowskiemu Helena Modrzejewska pozowała do portretu. Zanim dał się poznać jako malarz, stracił nogę w powstaniu. W malarstwie wykazał delikatne poczucie koloru. Ledwie jednak zabłysnął talentem, odszedł dobrowolnie od blasku świata w mroki najposępniejszych nędz. Przywdział habit franciszkanina, zamienił się w brata Alberta, przyjaciela żebraków i prostytutek, chorych nieuleczalnie, zbrodniarzy, nałogowców, wszelkich istot zepchniętych w podziemia.

Oto Henryk Sienkiewicz. Wytworny, niewielki, chłonął w milczeniu czary, ekstrawagancje, dowcipy salonu Modrzejewskiej. A nosił już w sobie wizję spraw anielskich wczesnego chrześcijaństwa, zarówno jak postać Zagłoby, słowiańskiego Falstaffa.

Grano i śpiewano w tym domu, gdzie nic co ludzkie i co piękne nie było obojętne. A stary Odyniec snuł dalej sagę romantyczną, okraszoną wspomnieniami Paryża i Weimaru. Grano, wspominano, śpiewano, żeby odżegnać rzeczywistość i zagłuszyć serca. Żeby boski stygmat życia nie został z polskich twarzy zmazany.

I kogóż miała genialna aktorka na ten sympozjon żywych

i umarłych, kogóż miała wiosną warszawską przyzywać, jeśli nie Szekspira?

Tak zaczęły się starcia z dyrekcją teatru. Pierwsze — z powodu Hamleta. Modrzejewska zażądała wprowadzenia tej tragedii



(*rys. Janina KONARSKA*)

do repertuaru. W Warszawie roku 1870 „być albo nie być", to nie było retoryczne pytanie. Cenzor odmówił. Morderstwo króla uznał za temat godzący w bezpieczeństwo cara. Trudności ustały dopiero, gdy hrabina Muchanoff złożyła zapewnienie, że królobójstwo w „Hamlecie" było sprawą czysto familijną.

Modrzejewska w roli Ofelii, kreowanej w Warszawie, wzruszyła z czasem widzów na obu półkulach. Moniuszko skompono-

wał muzykę do obłąkańczych piosenek. Łatwo mu to przyszło, bo był autorem opery osnutej na obłędzie dziewczyny, zdradzonej przez panicza. Polska jest krajem ziół i niespełnienia. Polskie melodie dobrze brzmią w słowach o rozmarynie, fiołku i o rucie, zwłaszcza, jeśli śpiewa ktoś co ma umrzeć młodo. Helena, jak ją zwano za granicą, Modjeska, do końca swojej kariery scenicznej nie wyrzekła się moniuszkowskich melodii. Śpiewała je, przystosowane do angielskiego tekstu, występując z Edwinem Boothem w Ameryce. Jednak i język polski nie spierał się widocznie z magią angielskiego poety. Modjeska zagrała raz w New Yorku scenę przedśmiertną Ofelii — po polsku. I wtedy to właśnie jej sławny partner MacCullough, płakał za kulisami, słuchając.

Aktorzy często płaczą z zachwytu nad pięknem. Ale w żadnym mieście świata widzowie nie umierają za miłość do teatru. Taka rzecz mogła się zdarzyć tylko w Warszawie.

„Hamlet" z Modrzejewską i Królikowskim zyskał olbrzymie powodzenie. Nazajutrz po premierze Modrzejewska przechodziła przez Ogród Saski. Otoczył ją tłum młodzieży. Uczniowie recytowali tyrady Hamleta, klaskali, część szła za aktorką aż do Placu Teatralnego, nucąc strofy Ofelii, rozpamiętywując sentencje Horacjusza.

Po „Hamlecie" nastąpiło wystawienie „Romea i Julii". Dyrektor tym razem zdziwił się, że Modrzejewska obstaje przy sztuce przerobionej z opery. „Dawaliśmy „Romea i Julię" Gounoda dopiero co i nie bez powodzenia, bo muzyka piękna, ale uważam, że intryga jest bardzo mizerna" — „Ależ to dramat Szekspira!" — krzyknęła Modrzejewska. „Szekspira? — skrzywił się Rosjanin — nigdy nie słyszałem. Wiem jedno, że to będzie imitacja opery."

Płynęły lata siedemdziesiąte dziewiętnastego wieku. Zbliżał się sentymentalny i przemysłowy, humanitarny i mieszczański fin-de-siècle Europy. W stolicach Zachodu Szekspir dostarczał popisu aktorom, gorszył lub wzruszał estetów, zadziwiał filozofów, nudził szeroką publiczność. W Polsce Modrzejewska grała na przemian Tytanię i Desdemonę, Annę w Ryszardzie III, Porcję, Juliettę, Ofelię — przed widownią skamieniałą ze zgrozy, to znów wybuchającą płaczem serdecznym, śmiechem, westchnieniami... Dla publiczności polskiej, zwłaszcza dla warszawian, problematy Szekspira, namiętności Szekspira nie były muzyką przeszłości. Tu każda godzina dnia mijała w walce o przetrwanie. A każda godzina nocy prowadziła za sobą upiory. Nielitościwe fatum, ciągle jeszcze ścigało tu kochanków, synowie mścili się za ojców, matki drżały przed szaleństwem synów, dziewczęta szukały śmierci w strumieniach, uzurpatorzy gorsi od Makbeta rządzili krajem, a poezja, jeśli spływała o księżycu na ziemię, nie usypiała, lecz do życia budziła ludzi śmiertelnie znużonych. Tych samych ludzi, którzy na wiosnę spacerowali uśmiechnięci po swoim mieście tragicznym.

Płynęły lata, ale nie odmieniał się los tego miasta. Nie stało wreszcie dobrej hrabiny Muchanoff, opinie cenzorów stawały się coraz srozsze i coraz bardziej fantastyczne. Modrzejewska zaczęła chorować. W roku 1876 postanowiono wyjazd do Ameryki po zdrowsze, prostsze życie. Na wieczór pożegnalny po ośmioletnim kontrakcie w Warszawie, wybrała — oprócz „Ślubów Panieńskich" — scenę balkonową z „Romea" i scenę obłąkania Ofelii.

„Kurier Warszawski” takie dał sprawozdanie z wieczoru: „Po przedstawieniu cała publiczność, wyległszy masowo na ulicę, uformowała podwójny szpaler ode drzwi teatru, poprzez całą szerokość Placu Teatralnego aż do bram ogrodu. Skoro artystka pojawiła się we drzwiach, przyjęły ją okrzyki uwielbienia, pomięszane z najserdeczniejszymi życzeniami. „Wróć do nas! — wołano — wróć jak najprędzej, gdyż pozostawiasz próżnię nie do wypełnienia!”

I artystka wracała. Mimo, że Świat Nowy przyjął ją szybko za swoją, mimo, że tylu w nim było ludzi interesujących, tyle spraw szlachetnych i tyle pogody, — wracała co lat kilka. „Warszawo! — pisała w pamiętniku — miasto moje wybrane, źródło niewyczerpanej goryczy! Stare przysłowie mówi: przez kogo najmocniej cierpimy, tego najmocniej kochamy. Tak jest z Warszawą i ze mną”.

Jesienią roku 1884, za drugim powrotem do Polski, Modrzejewska po występach gościnnych w Krakowie, Lwowie i Poznaniu zjechała na dłuższy pobyt do Warszawy. I znowu tłum obległ kasy teatralne, a Park Łazienkowski słał pod stopy szumiące październikowe liście. Wszystko było po dawnemu, tylko Szopena grano inaczej, bo do fortepianu zasiadł muzyk nieznajomy, dwudziestoletni Paderewski o głowie rudego anioła. Modrzejewska była szczęśliwa. I — na przekór wrogom — Warszawa była także szczęśliwa.

Zaczęły się wieczory magii szekspirowskiej i romantycznych uniesień. Młodzież zalegająca galerie chłonęła jak mannę z nieba, wygnane ze szkół, wzgardzone przez urzędników, polskie słowo, które w ciągu tych kilku godzin w teatrze, odzyskiwało swoją nieprzedawnioną władzę i swoje żywe piękno.

Któregoś wieczora — a było to już w trzy tygodnie po pierwszym występie — w chwili gdy znakomita aktorka dziękowała ukłonami za żywiołowe aplauzy publiczności, przed rampą zjawiło się dwóch chłopców w mundurach gimnazjalnych, z bukietem przepasanym wstążką, na której widniał polski napis: „Helenie Modrzejewskiej od młodzieży”. Artystka przycisnęła kwiaty do serca, publiczność wpadła w większy jeszcze entuzjazm, a chłopcy — potykając się i blednąc — znikli z powrotem za boczną kotarą.

Minęło znów dni kilka. Aż oto, zjawiając się na próbę nowej sztuki, Modrzejewska, pełna jeszcze tego rzewnego ciepła, które ogarniało ją zawsze, gdy przemierzała ulice Warszawy, usłyszała wśród kolegów słowo „pogrzeb” — „Jaki, czyj pogrzeb?” — spytała roztargniona. „Tego ucznia, który namówił kolegów, żeby wręczyli ci bukiet — odpowiedziano. — Zastrzelił się; bo nie tylko on, ale i wszyscy ci chłopcy, którzy dali składkę na kwiaty, za „manifestację patriotyczną”. zostali z wilczym biletem wyrzuceni z gimnazjum.”

Tak więc się okazało, że w epoce owego fin-de-siècle'u tak artystycznego, tak słodkiego w stolicach państw potężnych, w Warszawie płacono śmiercią za miłość do teatru. Niedarmo mówi Hamlet:

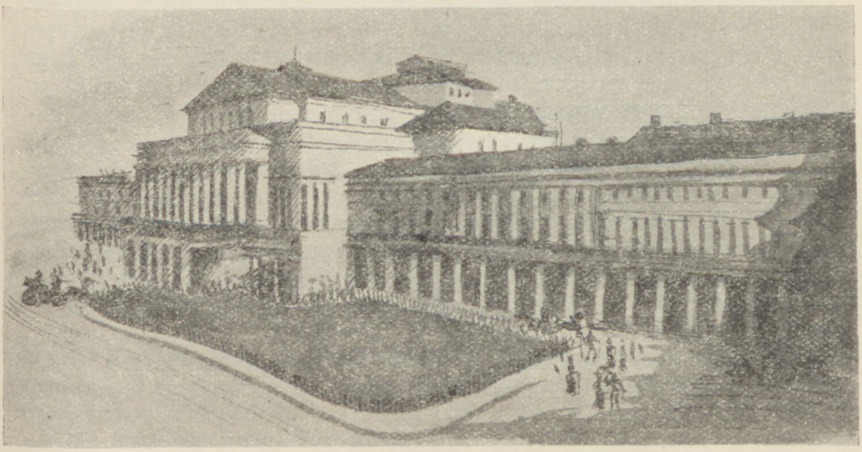
Niech ryczy z bólu ranny łoś
Zwierz zdrów niech wraca w knieje
Ktoś nie śpi, by mógł zasnąć ktoś.
Zwyczajne dzieje.

To wszystko było dawno. Dawno przebrzmiał srebrny głos Modrzejewskiej, dawno zarósł trawą grób młodego ucznia i świat — nieczuły na ryk rannego łosia — odbiegł daleko od tego czasu, kiedy w sercach chłopców królowały Julietty i Ofelie. Rozegrano wiele gier politycznych i wiele zbrojnych rozpraw, ubyło tronów w Europie, przybyło dyktatorów — zmiany wszędzie ogromne.

Jaka zmiana w Warszawie?

Także ogromna: teatr leży w gruzach i nie wolno Polakom grać Szekspira.

Cisza nad Placem Teatralnym... Tajemnicze niebo bohaterów wisi nad strzaskaną kolumnadą — bliższe warszawianom teraz, kiedy dachów nie stało. Kulisy puste, pusta scena... Tylko na galerii, jak zawsze, jest pełno. Młodych dusz śmierć nie może od teatru odpędzić; zwlekają się z grobów po nocy i przychodzą na spektakl. Wtedy Tytania na czele wszystkich czarów spływa z księżyca między zwęglone mury. Puk wyskakuje z pokrzyw, które widownię zarosły. Julietta budzi się ze snu, Lady Macbeth umywa ręce, Hamlet po raz tysięczny umiera. Z nieba i z piekła idzie szept... Reszta jest milczeniem.



(*rys. J. KONARSKA*)

FELIKS GROSS

MYŚLI O JUTRZE

KILKA TEZ POLITYCZNYCH

1. W zagadnieniach planowania powojennego problem polityczny (w znaczeniu międzynarodowym i wewnętrznym) ma prymat przed innymi zagadnieniami. Planowanie gospodarcze musi być dostosowane do celu politycznego. Nie można tworzyć planów gospodarczych bez założeń politycznych. Innego planu gospodarczego wymaga zamknięta gospodarka autarchiczna, innego zaś gospodarka globalna w ujęciu regionalnym.

Bez znajomości międzynarodowego projektu porządku politycznego planowanie gospodarcze jest niemożliwe.

Plan gospodarczy dostosowany musi być także do celu politycznego w znaczeniu społecznym i w znaczeniu polityki wewnętrznej. Innego planu gospodarczego wymaga państwo totalne, innego zaś państwo demokratyczne oparte o sprawiedliwość społeczną.

2. Druga wojna światowa stała się wielką międzynarodową rewolucją. Po zwycięstwie stworzyć możemy znacznie doskonalszy porządek międzynarodowy niż jakikolwiek z tych, które istniały w przeszłości w ciągu 3000 lat kultury europejskiej, nie wyłączając Pax Romana. Okres dzisiejszy wymaga też rewolucyjnych środków w budowie nowego systemu międzynarodowego. Czysto formalne układy dyplomatyczne tej funkcji spełnić nie mogą. Są szkodliwe w tych wypadkach gdy służą jako pokrywka dla celów sprzecznych z interesem powszechnym ludu.

3. Karta Atlantycka nie jest ujęta jeszcze w system realny, w instytucję. Deklaracje w sprawach międzynarodowych — doświadczenie uczy — nie mają większego znaczenia jak długo brak narzędzi dla ich urzeczywistnienia. Tym narzędziem są instytucje. Pod tym względem w roku 1943 jesteśmy znacznie dalej od celu niż w roku 1920.

Wówczas stworzono Ligę Narodów, słabą, bez siły wykonawczej — to wszystko prawda — ale była to przecież jakaś instytucja. Dziś nawet owej słabiutkiej Ligi Narodów nie ma, bo Liga jest martwa, a w miejsce jej nie stworzono żadnej silniejszej i bardziej celowej organizacji.

4. Mechaniczny podział zagadnień politycznych na sprawy międzynarodowe oraz na wewnętrzno-polityczne, jest błędem, którego powtarzać nie wolno. Przygotowanie wojny należało dotychczas do dziedziny spraw wewnętrznych. Dopiero wojna stawała się zagadnieniem międzynarodowym — tak było z Niemcami Hitlera. Z chwilą ograniczenia suwerenności — co jest warunkiem każdego nowego systemu międzynarodowego — podział ten traci swe dawne znaczenie.

5. Zagadnień międzynarodowych nie da się oddzielić od spraw społecznych i wewnętrzno-politycznych. Zagadnienia te powiązane są ze sobą nierozdzielnie. Nie da się stworzyć postępowego porządku międzynarodowego przy utrzymaniu reakcyjnych systemów społecznych i politycznych i odwrotnie.

Liga Narodów z faszystowskimi Włochami i Japonią okazała się nonsensem — demokratyczna Austria wciśnięta między faszystowskich sąsiadów nie miała możności utrzymania zdobyczy postępu społecznego. Jakkolwiek byśmy nazwali system dyktatury, zawsze pozostanie on systemem reakcyjnym.

Związek państw czy Liga Narodów tolerująca ucisk narodowościowy wewnątrz granic państw-członków Ligi staje się instytucją niepotrzebną i kompromitującą.

W okresie więc tej wielkiej rewolucji, którą przeżywamy, nie da się zbudować silnego porządku międzynarodowego, który by zapewnił trwały pokój bez głębokich zmian społecznych i politycznych w imię ideałów postępu, sprawiedliwości społecznej i demokracji.

6. Polska, jako Polska sama wobec wagi spraw innych jest na forum międzynarodowym zagadnieniem drugorzędnym. Zagadnieniem pierwszorzędnym jest Polska jako Europa — jako część problemu europejskiego, bo Polska jest częścią istotną Europy. Pamiętać musimy że sprawa Polski stawiana być musi zaw-

sze w ramach zagadnienia europejskiego i ogólnego porządku międzynarodowego, a nie jako zagadnienie samo dla siebie.

7. Wraca, co prawda jako cień, ale wraca niemniej i odrodzić się może stara groźna zasada podziału łupów. Wedle tej teorii świat winien być podzielony na „sfery wpływów". Oznacza to, że najsilniejsi i najpotężniejsi podzielą między siebie świat, zamiast stworzyć wraz z innymi narodami nowy porządek międzynarodowy, oparty na zbiorowym bezpieczeństwie.

System taki doprowadzi do nowej wojny w ciągu 20 do 30 lat. Doprowadzi w konsekwencji do rozbicia świata na zamknięte systemy kontynentalne.

8. W Azji, w Afryce, na Pacyfiku, na całym świecie wreszcie, wzrosło uświadomienie ogromnych mas ludności. Trzeba i tam stworzyć wielki system bezpieczeństwa zbiorowego by w ramach tego systemu dać owym ludom swobodę. W przeciwnym razie powstaną tam państwa totalne, tyranie dysponujące własną siłą zbrojną, groźną dla pokoju. System „wpływów" tego problemu nie rozwiąże. I tam trzeba nowego porządku.

9. W koncepcji „Wielkiej Trójki" zapomniano o Europie. Zlekceważenie Europy po tej wojnie będzie takim samym błędem, jak niedocenienie Rosji po wojnie ubiegłej.

REGIONALIZM EUROPEJSKI I FEDERACJONIZM

Obecna wojna będąca rewolucją w stosunkach międzynarodowych — wskazuje na to jak niewystarczającym był system międzynarodowej organizacji a raczej dezorganizacji. Wskazuje również na potrzebę zmiany tego systemu i przedstawia jedyną dla tej zmiany chwilę.

Dzięki rewolucyjnemu charakterowi tej wojny, marzenia o europejskiej federacji straciły utopijny charakter. Wyłoniły się idee mające szanse urzeczywistnienia.

R. N. Coudenhove-Kalergi, w jednym z ostatnich swoich artykułów w „Herald Tribune", zauważył, że podział Europy, oparty na „sferze wpływów" byłby tylko krokiem do nowych wojen. Ma on również słuszność uważając Francję, wiedzioną przez ruch „Wolnych Francuzów" za istotny element europejski. Lecz główny problem europejskiej organizacji leży w Niemczech, które p. Coudenhove-Kalergi, o ile mi wiadomo, bierze pod uwagę w swych planach.

Federacja europejska, zbudowana przez mechaniczny konglomerat narodów europejskich, popadłaby natychmiast pod kontrolę niemiecką i taka Europa mogłaby łatwo stać się instrumentem dla niemieckiego imperializmu.

Przede wszystkim Europa potrzebuje nowego systemu organizacji. Stare więzy narodowe pozostaną silne, lecz ponadto należy znaleźć więzy inne, które przyczynią się do stworzenia szerszych demokratycznych i politycznych jednostek. Nazwijmy je okręgami, względnie o ile Europa uważana jest za okręg — w obrębie systemu światowego bezpieczeństwa — federacjami okręgowymi. Europa posiada bowiem wspólne zainteresowania regionalne względnie podregionalne o większym znaczeniu dla przyszłości, niż zainteresowania narodowe. Typowym przykładem jest region centralny i wschodnio-europejski, obejmujący narody zamieszkałe pomiędzy morzem Egejskim i Bałtyckim, które posiadają wiele wspólnych cech kulturalnych i ekonomicznych.

Jest to okręg który dotychczas był spichrzem Niemiec i bez którego Niemcy nie byłyby w stanie prowadzić wojen.

Podział Europy na federacje będzie właściwą międzynarodową budową dla przeciwstawienia się sile niemieckiej w Europie. Bez organizacji regionalnej małych narodów w Europie, o której premier Churchill wspominał w jednym z swych przemówień, zaludnione i silne Niemcy byłyby otoczone ponownie małymi, wyczerpanymi europejskimi narodami.

Organizacja federacyjno-regionalna jest niezbędna dla uniknięcia tego błędu. Mówiąc ogólnie, pośród projektodawców Europy środkowo-wschodniej dają się zauważyć dwie grupy: jedna chciałaby, aby okręg centralny i wschodnio-europejski związany był bezpośrednio z Narodami Zjednoczonymi świata bez żadnych pośrednich organizacyj europejskich, druga natomiast pragnęłaby aby organizacja federacyjna była częścią systemu europejskiego. Ale zgoda na zasadę regionalną jest widoczna i tu i tam, a co jest również rzeczą ważną, myśl federacyjna jest szczególnie popularna w ruchach podziemnych podbitych narodów europejskich.

O ile chodzi o Niemcy, organizacja regionalna jest ważnym elementem, ale nie jedynym elementem bezpieczeństwa europejskiego. Niemcy muszą być poddane pod długą i dokładną kontrolę, a zwłaszcza ich przemysł, surowce i finanse. Pamiętajmy że Niemcy nie miały dużej armii w 1932 r. ale ich siła ekonomiczna pozwoliła im na ponowne uzbrojenie. Niemcy musi spotkać dalej klęska militarna na ich własnym terenie, muszą one odczuć że przegrały wojnę ponieważ demokracje są silniejsze i że nie ma możliwości germańskiego podboju świata.

Problem niemiecki musi być ostatecznie rozwiązany przez wszystkie Narody Zjednoczone. Organizacja europejska — międzynarodowa budowa Europy — stworzy ważny element w rozwiązaniu problemu niemieckiego raz na zawsze. Droga do Rady Europejskiej prowadzi przede wszystkim poprzez zasadniczy problem budowy europejskiej.

Jest również rzeczą oczywistą, że cała koncepcja europejska musi być dołączona do systemu Narodów Zjednoczonych i do ich systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Regionalizm europejski względnie federacjonizm krajów i narodów nie może się wyrażać w jakiś europejski sekcjonalizm.

Międzynarodowe społeczeństwo świata powinno się składać z członków demokratycznych. Liga Narodów dowiodła, że ujmując sprawę teoretycznie, nie możemy odłączać zagadnień międzynarodowych od zagadnień wewnętrznych. W konsekwencji takiego rozdziału wspomnianych zagadnień Mussolini i Hirohito występowali w Lidze Narodów jako protektorzy pokoju i międzynarodowej sprawiedliwości. Nie może się to powtórzyć tym razem. Przyszły system europejski — federacje europejskie i Rada Europejska — powinny składać się z narodów demokratycznych i w przyszłości demokracja powinna być protegowana przeciwko faszystowskiej agresji wewnętrznej.

W środku Europy pozostaną bowiem Niemcy — blok 60-70 milionów ludzi. Po doświadczeniu tej wojny byłoby lekkomyślnością dać wiarę pokojowym zapewnieniom dobrych Niemców. Zasłużyć sobie mogą na zaufanie dopiero po wielu, wielu latach.

Na zachodzie jest słaba, wyniszczona Francja. Na wschodzie kilkanaście państw przed wojną skłóconych, dzisiaj zaś wykrwawionych i wyniszczonych.

Dla stworzenia jedności europejskiej w której Niemcy utraciłyby swój prymat fizyczny rozluźnić należy ów blok niemiecki — zespolić państwa i państewka na wschodzie i zachodzie i na północy Europy. Francja, Włochy, Hiszpania i Portugalia utworzyć winny region zachodni, czyli łaciński. Na wschodzie — od Bałtyku po morze Egejskie powstać winna konfederacja Centralnej i Wschodniej Europy. Na północy — region północny (Finno-Skandia), obejmujący państwa skandynawskie i Finlandię. W środku Niemcy o rozluźnionej organizacji federacyjnej. Niemcy winny być luźnym państwem, konfederacyjnym, o jak najmniejszym wpływie centralnych władz a jak najszerszym samorządzie. Powinny zostać poddane długotrwałej, wszechstronnej i dokładnej kontroli międzynarodowej. Szwajcaria — neutralna, jak District of Columbia w Stanach Zjednoczonych pozostanie siedzibą władz europejskich, niezwiązana w żadnym regionie. Belgia i Holandia winny być członkami regionu zachodniego. Rozważyć jednak należy czy te dwa państwa nie powinny raczej przystąpić do związku brytyjskiego. W ten sposób Anglia znalazłaby się na kontynencie europejskim — co wobec osłabienia Francji, a zawsze jeszcze groźnych Niemiec, miałoby zasadnicze znaczenie.

Rada europejska składać się powinna z przedstawicielstw regionów, a nie samych państw. W radzie europejskiej zarówno Anglia, jak i Rosja i Stany Zjednoczone winny być reprezentowane podobnie jak Europa winna być reprezentowana w systemie panamerykańskim, rosyjskim, czy brytyjskim. Bez wprowadzenia tych państw do rady europejskiej niema możliwości zagwarantowania pokoju europejskiego i opanowania niemieckiego imperializmu.

Przyjazne stosunki z Rosją są jedną z podstaw systemu europejskiego. Wola owego współżycia jest konieczna z obu stron. Europa — łącznie z Anglią — i Rosja nie stanowią elementów przeciwstawnych. Na odwrót, uzupełniają się doskonale. Przy pomocy Europy Rosja może dopiero zagospodarować ogromne przestrzenie azjatyckie — bez niej skazana jest na borykanie się i niedomagania.

Przyjazne stosunki nie są równoznaczne z podporządkowywaniem się silniejszemu i jego interesom. Koncepcja „sfery wpływów" i system podporządkowania jest wyrazem niewygasłych jeszcze tendencji imperialistycznych, groźnych dla pokoju.

A wreszcie Europa zdobyć się musi na wielki wysiłek, by zająć należne miejsce w rodzinie ludzkiej, wielki wysiłek twórczy w odbudowie swej kultury. Tym tylko zapłaci swym sprzymierzeńcom za pomoc. Jeśli Europa nadziei w niej pokładanych nie ziści, nastąpić może silniejsza jeszcze izolacja Ameryki i odwrót amerykańskich zainteresowań od Europy. Nie zapominajmy że pierwszoplanowym zagadnieniem amerykańskim jest Pacyfik. Także południowe stany — ubogie i jeszcze nieodbudowane od czasów wojny domowej są ciagle bolączką Stanów Zjednoczonych. Wyspy Karaibskie — pełne nędzy — są świetnym terenem dla amerykańskich pomysłów i planów humanitarnych, a dorzecze Amazonki przedstawia niewyczerpane tereny dla energii amerykańskiej. Trzeba więc aby Europa umiała zainteresować sobą

Amerykę, tego młodszego a bogatego brata. Ponowne skłócenie Europy, to prosta droga do izolacji amerykańskiej.

Organizacja Europy musi pozostawać w ścisłym związku z ogólną organizacją porządku międzynarodowego bezpieczeństwa zbiorowego. Europa jest bowiem tylko częścią całego problemu. Warunkiem urzeczywistnienia trwałego porządku międzynarodowego będzie m. i. utworzenie wspólnej organizacji (Ligi) z szeregiem instytucyj międzynarodowych. Rada Narodów Zjednoczonych winna być pierwszym krokiem w tym kierunku. Jej zadaniem winno być przygotowanie projektów organizacji międzynarodowej siły wykonawczej, umiędzynarodowienie instytucji emisyjnych, międzynarodowa kontrola przemysłów kluczowych, surowców (także ich rozdział) oraz dróg powietrznych i wodnych o znaczeniu strategicznym. Celowi naczelnemu tej nowej organizacji świata podporządkowane muszą być cele inne, egoistyczne i nacjonalistyczne. Granice powinny w przyszłości utracić charakter wałów czy zapór celnych i wojskowych. Ich rola musi być zredukowana do roli granic administracyjnych.

DEMOKRACJA I RZĄDZENIE

Wiadomo że rząd ludźmi jest umiejętnością, nie tylko wymagającą wiadomości, ale rozumu i talentu osobistego. Gdy Ideę ludzie chcą realizować — brak im często tego daru Bożego, daru rządzenia. I może tu szukać wypada jednej z przyczyn upadku ruchów ludowych o wielkiej sile i dynamice, o tradycji rewolucyjnej.

Powtarzam jednej z przyczyn tylko. Dar rządzenia zależy oczywiście często od cech osobistych. Z tego też powodu zdarza się, że ci którzy rządzą w imię haseł konserwatywnych, często wykazują liberalizm ci zaś, co w imię haseł radykalnych, rządzą w sposób jaki by przystał reakcjonistom.

Jakże łatwo ludzie upajają się marnym strzępem władzy! Jak chętnie dają tę władzę innym do poznania i choć w gębie pełno mają frazesów o wolności niczem nie różnią się od policyjnego stupajki.

Czy ludziom, którzy świat ten zmienić mają, starczy tego daru i dobroci? Nie tym wielkim co na czele kroczą, ale tym małym, co właśnie o dniu codziennym stanowią.

Chłop i robotnik nie styka się z ministrem, ale z wójtem, policjantem, urzędnikiem dwunastego stopnia. Minister socjalistyczny nie pomoże jeśli policjantem będzie ten sam stupajka co schylony jest pokornie przed „władzą" a brutalny i arogancki wobec „strony".

Minister nie potrzebuje widzieć ludu lecz musi znać jego bezpośrednie potrzeby. Minister nie musi na obchodach i uroczystościach ściskać rąk czarnych od pracy, ale musi pilnować aby po biurach i urzędach robotnik, chłop, inteligent, żyd jednako byli traktowani, mieli przystęp i dostęp, ludzkie traktowanie.

Minister ludowy nie pomoże, gdy chłop cierpieć będzie od nadętego i samowolnego starosty i bezwzględnego komornika. Demokracja tworzy się u dołu. Ci mali ludzie, mali urzędnicy, mogą strzępem władzy więcej krzywdy narobić, właśnie w imię szczytnych haseł, którymi można każdą zbrodnię usprawiedliwić.

Władza upaja — i często zdarza się że pod jej wpływem człowiek spokojny i uczciwy zmienia się w głupca.

Jak prawdziwą duszę poznasz w człowieku wtenczas gdy jest pijany, tak też go poznasz wówczas, gdy jest przy władzy. Alkohol upija — władza upaja. Wielkie hasła jak dotąd mało zmieniały władcze wady ludzi. Świadczy o tym idea Chrystusa, wielkość jego nauki a częsta małość jego sług co duszpasterstwo i obowiązek opieki zmieniali na władzę drapieżną.

Uczą nas natury pruskie i butne, władza „feldfebla", która stała się przysłowiowa tak jak władza dozorcy więziennego, że nad tą stroną duszy ludzkiej pracować należy.

* * *

Rządzić i nie dać poznać rządzonym, że się nimi rządzi to prawdziwe dzieło sztuki.

Głupiec rządzi batem, mędrzec uśmiechem. Głupiec powtarza bezustannie — „Ja Pozwalam", mędrzec milczy i milczeniem uczy „To Wasze Prawo". — Głupiec podkreśla swą łaskę, mędrzec podkreśla swój obowiązek.

Mędrzec rządzi, głupiec męczy się i niepokoi pytaniem czy rządzi, czy dostatecznie rządzi, czy mu ktoś kompetencji nie odbierze.

Jak w Polsce wykluczyć małych charakterem ludzi od rządzenia. Jak zlikwidować rządy stupajków i tępej biurokracji wtedy gdy przyjdzie prawdziwą demokrację budować?

Odpowiedź nie jest łatwa. Zazdrość, zawiść, złośliwość, nieufność, spory kompetencyjne, wyżywanie się oto częste niestety cechy urzędników polskich, które przywlokły się za nami nawet i na emigrację i szkodzą wiele pracy codziennej.

Jak pozbyć się samowładztwa kliki, którą nie idee, nie przekonania, nie sprawy łączą, ale jeden wspólny charakter wyrażający się w dokuczliwości płynącej z braku serca i rozumu. Jaki filtr zastosować by skwaszony urzędniczyna nie zaawansował przypadkiem na kierownika sprawami personalnymi.

Nie pomogą na to żadne kartoteki personalne, nie pomogą żadne komisje ministerialne i między ministerialne, nie pomoże na to ani prezydium rady ministrów ani sam minister. Żadne centralne władze ani poseł okręgu ani sejmowe inkwizycje.

Jak najszerszy samorząd — oto odpowiedź. Samorząd terytorialny zapewnić winien władzę kandydatom z ludu. Zamiast starosty niechże rządzi marszałek powiatu wybrany przez powiatowy sejmik — miast wojewody mianowanego — wojewoda z wyboru. Sejmiki powiatowe i wojewódzkie przez wykonywanie kontroli nad głową okręgu przyczynią się w dużej mierze do wprowadzenia politycznej obyczajowości w Polsce — tak koniecznej dla prawdziwej demokracji. Samorząd umożliwi zmianę marszałków, czy wojewodów, gdy rządzić zechcą jak stupajki.

* * *

Jeśli w Polsce po jej uwolnieniu — wprowadzimy znowu demokratycznych, socjalistycznych i ludowych ministrów a zostawimy reakcyjnych wojewodów, starostów i urzędników jak w 1918 roku wynik będzie ten sam co w 1939 roku.

Aparat państwowy musi być zdemokratyzowany od podstaw. Decyzja powinna być w rękach szczerych demokratów w szerokim nie tylko partyjnym znaczeniu tego słowa i to od gminy począwszy a na całym państwie skończywszy. Tylko szeroki samorząd, może zapewnić kontrolę demokratyczną w Polsce.

Przez demokratyczny samorząd ograniczyć można samowolę, usunąć owych „władców”, co na ludzie się wyżywają, tylko przez demokratyczny samorząd przeprowadzić można należytą selekcję, dzięki, której urzędnicy, stykający się bezpośrednio z ludem jemu służyć będą a nie żadnemu panu.

* * *

Samorząd z innego jeszcze względu jest dla demokracji niezbędny. Konstytucja i prawo nie stwarza demokracji, bo demokracja nie jest ustawą, demokracja jest sztuką życia i obyczajem. Kamieniem probierczym demokracji jest stosunek człowieka do człowieka, przede wszystkim stosunek tego co rządzi do podwładnego i rządzonego. Demokracja amerykańska i angielska jest sposobem życia. Dostęp do ministra amerykańskiego jest łatwiejszy niż był do ministra polskiego. Za amerykańskim ministrem nie stoi pochylony uniżenie sekretarz, woźny nie trzaska obcasami. Na ulicy policjant nie jest „władzą” a boss — dyrektor jada z robotnikiem „ham sandwich” przy jednym stole. Równość jest stylem życia nie prawem. Ten styl życia trzeba w Polsce wprowadzić, bo inaczej demokracji w Polsce nie będzie. Na demokratów trzeba obywateli wychować. Samorząd jest właśnie taką szkołą demokracji. Bo władza z wyboru inny daje stosunek do ludu, do wyborcy, niż władza z mianowania.

TEORIA I PRAKTYKA

Cierpienie jest źródłem obfitym ludzkiego myślenia. Człowiek skrzywdzony myśli: „Dlaczego ja cierpię, dlaczego ludzie cierpią, czy cierpieć muszą?” — podobnie człowiek głodny — bo i on jest cierpiącym. Stąd „Pamiętniki bezrobotnych”, „Robotnicy piszą”, pełne są myśli. Stąd poeci w okresie romantyzmu tworzyli pozory cierpienia, modlili się o „Cierpienia Werthera”, bo one były źródłem natchnień i twórczości.

Na dworcu kolejowym w Cleveland spotkałem kolorowego Sokratesa — nazywał się Morris. Musiał wiele krzywd doznać z powodu czarnego koloru swej skóry. Gdy mówiłem o ideałach równości powiedział: „Człowiek często zgadza się teoretycznie na to czego nie chce zastosować praktycznie. Zgadza się, że pewne rzeczy muszą być zrobione, lecz odrzuca je w życiu codziennym. Problem ten nie może być rozwiązany w intellekcie”.

Zgodzimy się na wiele haseł na konferencji, przy zielonym stole.

Jakże mało z nich człowiek realizuje. Godzi się w sumieniu, odrzuca w życiu.

ALEKSANDER PISKOR

26 WIEKÓW ŚWIĘTOŚCI

11 listopada 1940 roku

Kimono, tradycyjny japoński strój narodowy, zostało zapożyczone z Chin przed przeszło tysiącleciem, gdzie cieszyło się dużą popularnością za czasów środkowej dynastii T'ang'ów. Nowoczesnym narodowym strojem Japończyka stał się długi, czarny żakiet, który był noszony przez wszystkich szanujących się urzędników i dyrektorów londyńskiej City za czasów ostatnich lat panowania królowej Wiktorii. Gdy na Zachodzie ta moda

uległa złagodzeniu, zmianie lub nawet częściowemu zapomnieniu, na wyspach „wschodu słońca” stanowi ona ciągle wieczny rytuał codziennego i świątecznego życia. Po przyjeździe do Japonii ciągle oglądałem — od najwcześniejszego rana do najpóźniejszego wieczora — Japończyków, ubranych w długie, źle dopasowane żakiety — pełno ich było w restauracjach, na ulicy, w bankach, biurach i redakcjach, w pociągach, tramwajach i autobusach, w samochodach, na rowerach, a nieraz nawet na nartach. Do nałożenia tego stroju wystarczała każda okazja, przy czym uzupełniany on często bywał w lecie — przez żółte półbuciki lub tenisowe pantofle, białe spodnie, słomkowy kapelusz i nieodzowny wachlarz.

Wkrótce się przekonałem, że nie zdołam: ani poznać wybitniejszych ludzi, ani wziąć udziału w wielu uroczystościach, ani w ogóle pracować jako zagraniczny korespondent, jeśli się nie zaopatrzę w ten konieczny, uroczysty i przepisowy czarny strój. Okoliczności ułożyły się pomyślnie — podczas Bożego Narodzenia 1939 roku mogłem pojechać do Szanghaju, gdzie Chińczyk, Mr. Style, szef firmy Style and Co. na Joffre Avenue, w przeciągu kilku dni uszył dla mnie wspaniały żakiet. Jako filozof zrobił on przy tym uwagę: "J a p s w i l l l i k e y o u i n t h i s d r e s s" — i to proroctwo w ciągu pewnego czasu się sprawdzało. W czarnym żakiecie, często z wachlarzem w ręku i z nieodzowną w Japonii łyżką do butów w kieszeni, rozpocząłem na nowo moją "japońską karierę", która w dwa lata później zaprowadziła mnie do cesarskiego więzienia, będącego jedynym miejscem, gdzie uroczysty strój nie jest wymagany.

Gdzieś w końcu października 1940 roku, podczas konferencji prasowej z zagranicznymi korespondentami, ówczesny spokesman rządu japońskiego, Yakichiro Suma, oświadczył nam wszystkim, że — jak wiadomo — cesarstwo japońskie ma już 2600 lat, że specjalny obchód tej rocznicy odbędzie się w dniach 10 i 11 listopada i że dziennikarze, którzy mają żakiety mogą wziąć udział w uroczystości. Ktoś po cichu powiedział: „2600 lat — mój Boże! — jak ten czas prędko leci” — wszyscy roześmieli się, obecni Japończycy udali, że nic nie słyszeli i konferencja potoczyła się dalej. Po powrocie do domu poleciłem b o y ' o w i zanieść mój żakiet do odprasowania.

W dwa tygodnie później nadszedł dzień oczekiwany — 50,000 specjalnie dobranych, lojalnych i pewnych Japończyków, ubranych na czarno, wypełniło plac przed pałacem cesarskim w Tokio. 3000 detektywów, ubranych również w żakiety, oprócz niezliczonej ilości policji w mundurach, pilnowało porządku i strzegło dostojników państwowych przed zamachami ze strony niezbalansowanych młodych ludzi. W tej ciżbie cudzoziemcy stanowili garstkę — korpus dyplomatyczny i dziennikarze — usadowieni na specjalnie zarezerwowanych dla nich miejscach. Później wszyscy oni dostali odznaczenia: medale 2600-lecia, które można było nosić, uwiązane na biało-czerwonej, jedwabnej wstążce.

Uroczystości dosięgły szczytu w drugim dniu celebracji, który był również rocznicą zawieszenia broni w 1918 roku, po długiej, czteroletniej wojnie, z udziałem Japonii. O tym fakcie nikt jednak w Tokio już nie pamiętał, a radość z powodu tak długiej i pomyślnej egzystencji wyspiarskiego cesarstwa promieniowała ze wszystkich artykułów w całej prasie. Na specjalnie wzniesionym krużganku zasiadł na tronie cesarz Hirohito, ubrany w mundur

generała, w towarzystwie swej żony, cesarzowej Nagako, której długa, biała suknia przypominała modele z epoki wiktoriańskiej. Głos władcy Japonii, przemawiającego do wszystkich zebranych, brzmiał donośnie, metalicznie i sucho — cichy i ciepły dźwięk miały natomiast słowa amerykańskiego ambasadora, Josepha Clark Grew, który — jako dziekan korpusu dyplomatycznego — złożył zbiorowe, protokularne życzenia dla kraju „wschodu słońca" na następne stulecie. Z kolei młodszy brat cesarza, książę Takamatsu, wraz z podniesieniem rąk do góry wzniósł przed mikrofonem na całe cesarstwo — trzykrotny okrzyk „b a n z a j". W ten sposób dreszcz historii przeniknął całe zgromadzenie — pozatem było górnie, bardzo uroczyście i nudno, jak podczas wszystkich oficjalnych obchodów we wszystkich krajach.

Po południu i wieczorem ludność stolicy cieszyła się i bawiła, a zabronione od paru lat — na czas wojny z Chinami — procesje z latarniami, przeciągnęły z zapadnięciem mroku ważniejszymi ulicami. Na Ginzie panował tłok — i w tysiącznych barach — wśród radosnych okrzyków — s a k e i piwo lały się bez przerwy do kieliszków i szklanek zmieniających się gości. W oświetlonych oknach wystawowych specjalnie ułożone chryzantemy — godło cesarskiego domu — swą symboliką głosiły chwałę tysiącleci. Z świątyni Y a s u k u n i, mauzoleum poległych za ojczyznę, strzelały w niebo różnokolorowe rakiety, rozsypujące się kaskadą fantastycznych gwiazd. Nawet w Yoshiwarze i w innych dzielnicach rozkoszy liczne patefony grały jedynie wojskowe marsze. O czym mówiły celebrujące tłumy? Jak stwierdził nazajutrz reporter dziennika "Hochi", w barach, domach schadzek i na ulicy publiczność powtarzała najczęściej jedno nazwisko: Yosuke Matsuoka.

Długie dzieje Japonii zbliżały się do przełomu — i człowiekiem, który w ciągu kilku ostatnich miesięcy stał się najpopularniejszym mężem stanu i wzbudził najwięcej zachwytów — był mały, wiecznie ubrany w żakiet, minister spraw zagranicznych. W końcu września zawarł on słynny "potrójny" pakt z Niemcami i Włochami, uznany przez dekret samego cesarza za zbawienny dla utrzymania światowego pokoju i niepodlegający żadnej krytyce. W sześć tygodni potem nadeszła radosna celebracja rocznicy założenia cesarstwa — i oba fakty były wbijane razem przez propagandę rządową do świadomości narodu. Japonia dawno już przestała być państwem żyjącym w izolacji — głosiły gazety, miesięczniki i głośniki radiowe — a w historycznym roku zdecydowała się na historyczną, najbardziej ważną i podniosłą w swych dziejach misję. Dotychczas jej dążeniem było "uregulowanie" spraw Azji Wschodniej, teraz zaś wkroczyła ona na arenę światową i międzynarodową, aby zapewnić — przy pomocy Niemiec i Włoch — wszystkim narodom i krajom naszego globu stały i ostateczny pokój oraz błogosławieństwo "nowego porządku".

Niewątpliwie — w listopadowe święto: rewię rakiet, latarń i chryzantem, wdzierała się nowa rzeczywistość polityczna i rozpoczynał się nowy okres w długiej historii japońskiego cesarstwa. Bohater chwili: ambitny, pracowity i w miarę potrzeby mistyczny Yosuke Matsuoka, marzył zapewne w ten wieczór, że wkrótce zostanie premierem i dyktatorem. O czym marzyła cała ludność? Upajała ją propaganda, że wielkie dzieła muszą się stać udziałem obecnego pokolenia i że musi ono postąpić tak, aby z tego był zadowolony pierwszy, legendarny cesarz Jimmu, który rozpoczął

„zbieranie" ziem japońskich. I tak wskrzeszone dzieje — urokiem zawartych w nich bohaterstw, ułudą ideologii i misji historycznej — wskazywały krajowi dalszą drogę.

SPOJRZENIE WSTECZ

Spojrzenie od dnia 11 listopada 1940 roku wstecz — przez 2600 lat — jest zadaniem o tyle łatwym, o ile przykłada się wiarę do tego, co zostało napisane przez japońskich historyków, poprawione niezliczoną ilość razy przez ideowych, politycznych, wojskowych i policyjnych doradców, specjalistów i cenzorów, zamknięte w oficjalnych podręcznikach szkolnych i wydawnictwach propagandowych. Pierwsze japońskie kroniki pisane pochodzą z VIII wieku i zawierają — jak wszystkie podobne, stare dokumenty — liczne wiadomości legendarne, niemożliwe do zbadania i stwierdzenia. Mitologia, zawarta w nich, jest dość bogata — rozbudowana następnie w wielu popularnych odmianach, została już w naszym stuleciu upiększona, ujednostajniona i podana do wierzenia jako prawda nie nastręczająca żadnych wątpliwości. Dzięki temu zapoczątkowane zostały dwie wersje japońskiej historii: oficjalna i nieoficjalna, przy czym ta ostatnia jest w Japonii — od szeregu lat — zabroniona i zakazana. Podawanie zaś w wątpliwość danych oficjalnych stało się ostatnio poważnym przestępstwem, karanym dłuższym pobytem w niezbyt przyjemnym, a nawet wręcz nieprzyjemnym więzieniu.

Ale w każdym razie, nawet posługując się obiema wersjami spojrzenie wstecz jest nieuniknione, bez tego bowiem nie można zrozumieć idei, dążeń i pragnień dzisiejszej Japonii. Oficjalna, bohaterska i porywająca historia nie kończy się, trwa bez przerwy i wywiera stale bardzo poważny wpływ na życie wyspiarskiego cesarstwa. Z kolei naród japoński żyje rytmem swych dziejów, wynajdując w nich te elementy, które utwierdzają go w przekonaniu o swej wyjątkowości i swym posłannictwie. Przeszłość nie jest zapominana, lecz gloryfikowana bez proporcji i umiaru, stwarza zachętę i podnietę do pracy i walki o niemniej świetną przyszłość. Duchy przodków ze swego nieokreślonego w czasie i przestrzeni panteonu patrzą na czyny żyjącego pokolenia, rozwijającego dalej ideę boskiego cesarstwa. Ani zewnętrzne przeszkody, ani krytyka „czystego" lub „praktycznego" rozumu, ani nawet drwiny sceptyków nie mogą już przełamać tego sugestywnego, histerycznego upojenia, otrzymywanego przez naród od swoich przewódców — odpowiednimi dawkami — w ciągu ostatnich 50 lat. Dlatego nie należy pogardzać oficjalną japońską chronologią — w niej tkwi tajemnica dzisiejszej, wojującej Japonii.

Prolog dziejów japońskich jest naturalnie wspaniały, groźny święty i... pornograficzny. Ale nie należy się gorszyć z powodu pornografii — występuje ona we wszelkich mitologiach, przy czym w japońskiej jest nie tylko wybitnie rozbudowana, ale także wszechobejmująca. Z przedwiecznego chaosu wyłania się stopniowo ziemia i niebo, które zamieszkują różne boskie istoty. Z czasem na widowni zjawia się para: brat, Izanagi, i siostra, Izanami — i za rozkazem innych bogów z ich miłosno-małżeńsko-kazirodczego stosunku nie powstają, lecz dosłownie rodzą się japońskie wyspy. Przy tej okazji — już raczej przypadkowo — wyrastają inne lądy, które jednak nie noszą żadnego boskiego piętna. Wszystkie narody przeto muszą być wdzięczne Japonii, ponieważ świat zawdzięcza swoje istnienie jedynie pewnym zda-

rzeniom, towarzyszącym jej urodzeniu. Z kolei bardzo ważne miejsce w japońskiej mitologii zajmuje bogini słońca, Amaterasu Omikami, która staje się bezpośrednią założycielką, panującej na wyspach „wschodu słońca", cesarskiej dynastii. Te sprawy m. in. w naukowy sposób opisuje w miesięczniku „Contemporary Japan", w numerze z marca 1940 roku, wybitny japoński uczony, dr. Shin-ichi Fujii, profesor uniwersytetów Waseda i Nippon, w artykule p.t. "Charakterystyka japońskiej konstytucji".

"Duch, znamionujący powstanie naszego kraju — stwierdza on — jest w pełni uwidoczniony w słowach Bogini Słońca, Pramatki Cesarzy, która z okazji zejścia z nieba na ziemię swego Niebieskiego Wnuka, Ninigi-no-Makoto, powiedziała: "Mizuho-no-Kuni („Kraj Pięknego Ziarna") wraz z obietnicą tysiąca pięciuset jesieni, pełnych obfitości (co oznacza nieokreślony okres czasu), jest ziemią, na której nasi potomkowie będą władcami. Ty, nasz potomku, idź tam i panuj. Idź! Pomyślność Cesarskiego Tronu będzie jednoczesna z niebem i ziemią". W słowach: "ziemia, na której nasi potomkowie bedą władcami" zawarta jest uroczysta deklaracja, że zmiana dynastii nigdy nie nastąpi, chociaż zdarza się to w Chinach, i że walka o cesarską władzę nigdy nie wybuchnie na naszych wyspach, chociaż jest ona częstym zjawiskiem w europejskich krajach. Bogini Słońca także powiedziała: „Ziarno, które zostało wychodowane w Ogrodzie-Ołtarzu w Takama-ga-Hara, gdzie my panujemy, będzie dane jedynie naszym potomkom". To jest wyraźne ostrzeżenie w stosunku do każdego, kto nie posiada boskiego początku, przed rządzeniem i panowaniem na wyspach „wschodu słońca".

Wnuk Amaterasu-Omikami wybiera sobie jako miejsce rezydencji południową wyspę japońską Kyushu, prowadzi jednak życie bogów, chociaż otrzymał od swoich boskich krewnych trzy znaki władzy cesarskiej: różaniec z drogich kamieni, lustro i miecz. Oznaczają one kolejno: miłosierdzie, wiedzę i męstwo, połączone ze sprawiedliwością — „trzy cechy każdego wielkiego władcy". Piąty potomek bogini słońca zbiera swoich podwładnych, przewozi ich na główną wyspę japońską, Honshu, zaczyna walczyć z przebywającymi tam tubylcami i ostatecznie osiedla się w okolicach dzisiejszej Osaki, nazywanej wtedy Naniwą. Wszystko to dzieje się dokładnie w roku 660 przed N. Ch. i stanowi początek japońskiej historii. Przybysze z Kyushu określają siebie jako naród Yamato, a ich przewódca, cesarz Jimmu, uważany jest za założyciela cesarstwa i dynastii. Teraźniejszy władca, Hirohito, jest jego 124 potomkiem w linii prostej, a spośród oznak władzy cesarskiej lustro zdeponowane jest obecnie w świątyni Ise, miecz w świątyni Atsuta, a różaniec przechowuje bezpośrednio cesarska rodzina.

Stare dzieje mają boski początek i z tego powodu można ustalić nawet ich daty, chociaż z tamtych czasów nie istnieją ani żadne zapiski, ani jakiekolwiek uboczne świadectwa. Cesarz Jimmu wstąpił na tron 11 lutego 660 roku przed N. Ch. i umarł w dniu 3 kwietnia roku 585 tej samej ery — i te dnie czczone są w XX wieku po N. Ch. w Japonii jako narodowe święta, przy czym ten zwyczaj datuje się jedynie od kilkudziesięciu lat. Dalsi potomkowie bogini słońca prowadzili z zapałem dzieło podboju wyspy, odrzucając barbarzyńców, Ajnów, na Północ. Inne ich wyczyny były niemniej ważne: humanitarne, romantyczne, pełne mądrości i nadziemskiej przezorności. Wreszcie zapanowała — już w trze-

cim stuleciu naszej ery — cesarzowa Jingo, która w ciągu przeszło 60 lat swoich rządów — działając na podstawie „boskich instrukcji" — opanowała Koreę i przez to pierwsza zapewniła nowoczesnej Japonii „odwieczne prawa" do trzymania w swej władzy tego pięknego półwyspu.

Kobietom nie należy jednak nigdy wierzyć — i wszyscy historycy cudzoziemscy dość zgodnie twierdzą, że jeśli nawet cesarzowa Jingo utrzymywała, że podbiła Koreę, to niestety mijała się w tym wypadku z prawdą. Podobno, jak świadczą chińskie źródła — wysłała ona jedynie poselstwo do cesarza chińskiego i w związku z tym poprosiła władcę północno-wschodniej Korei o przepuszczenie jej przedstawicieli przez jego terytoria. Następnie cesarzowa urodziła syna w kilka lat po śmierci swego męża — i stare kroniki niedyskretnie zapisały ten fakt wiele razy. Wieczna kobiecość jednak tryumfowała — Jingo potrafiła przekonać swój dwór oraz Japończyków XX stulecia, że jej syn był legalnym potomkiem zmarłego cesarza i że ona wobec pilnych zajęć państwowych, związanych właśnie z podbojem Korei, musiała z miesiąca na miesiąc i z roku na rok odkładać datę porodu. Podręczniki historii, z których młodzież japońska poznaje obecnie dzieje ojczyste, nie omieszkały oczywiście tego zanotować i podać do powszechnej wiadomości jako wzruszającego przykładu patriotycznego i poważnego traktowania przez dzielną władczynię swych obowiązków.

Patriarchalny ustrój starożytnej Japonii, w której naród uważał cesarza za swego ojca, nie zapewniał jednak spokoju, gdyż zarówno dochodzące do potęgi możne rody, jak i członkowie rodziny panującej, kłócili się z sobą, walczyli i wyrzynali się nawzajem. Horyzonty kulturalne naturalnie zaczęły się rozszerzać i gdzieś na początku VI wieku pierwsze i największe światło: kultura chińska, zaczęło przenikać do Japonii przez Koreę. Wraz z tą kulturą przyszły wielkie wierzenia azjatyckie: konfucjanizm wraz z pewną odmianą taoizmu, i przede wszystkim buddyzm. W 552 roku do cesarza Kimmei zgłosił się poseł z koreańskiej prowincji Kudara i wręczył mu portret Buddy oraz kilka książek o doktrynie buddyjskiej. Cesarz jednak nie czytał zbyt dobrze, wobec tego poseł wyjaśnił mu tajemnice wiary zaznaczając, że wyznawana jest ona już przez wszystkie narody od Indii do Korei. Japoński władca wysłuchał wszystkiego z największą uwagą, wykrzyknął: „Nigdy od najdawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego nie mieliśmy okazji usłyszenia czegoś podobnie cudownego i interesującego", odebrał obraz Buddy od posła i wręczył go swemu premierowi, należącemu do potężnej rodziny Soga, z „pozwoleniem tymczasowego czczenia tytułem próby". Pierwsze próby nie były zbyt pomyślne, ale następne spotkały się z powodzeniem i po pewnym czasie buddyzm zapanował w kraju.

Pod koniec VIII wieku stolicą cesarstwa stało się Kioto, ale już przed tym rodzina Fujiwara tak dalece urosła w potęgę, że zaczęła rządzić cesarstwem. Były to wprawdzie rządy cywilnej biurokracji, zbrojne powstania jednak i rebelie nie należały do rzadkości. Mimo to zaszczepiona kultura chińska rozwijała się pomyślnie na gruncie japońskim i niebawem zaznaczyła się wysokimi osiągnięciami. Na północy toczyły się wciąż walki z Ajnami, którzy musieli się cofać przed wojowniczym plemieniem Yamato. Władza cesarzy coraz bardziej malała — i z czasem nowe rody zaczęły dochodzić do potęgi, rządząc państwem nie za

pomocą rozbudowanej biurokracji, ale za pomocą swych zbrojnych oddziałów. Wreszcie w 1192 roku mężny i bezwzględny Yorimoto został Sei-i-Tai Szogun'em, czyli „wielkim generałem, zwyciężającym północnych barbarzyńców", urządził swoją stolicę w uroczej Kamakurze i ogłosił, że jego obowiązkiem jest „dbanie o spokój i obronę całego cesarstwa".

Od tej pory Japonia miała dwa dwory, jeden: cesarski w Kioto, gdzie potomkowie bogini Amaterasu Omikami wiedli gnuśny i na ogół dość nędzny żywot, i drugi: w Kamakurze, gdzie „wodzowie narodu" rozkazywali, rządzili i stanowili o prawie. Mimo usiłowań szogunów walki domowe nie ustawały i dopiero pod koniec XIII wieku kraj zjednoczył się wobec konieczności samoobrony. Ambitny Kublaj Chan, mongolski władca Chin, który tak mile gościł Wenecjanina, Marco Polo, doszedł do przekonania, że należy wreszcie podbić państwo Zipangu, które w bardzo niemiły sposób mordowało jego ambasadorów. Pierwsza próba inwazji wulkanicznych wysp, przedsięwzięta w 1274 roku na małą skalę, była niepomyślna, to też w siedem lat później na podbój Japonii popłynęła prawdziwa „wielka Armada". Ogromna flota chińskich dżonek, wioząca podobno 100.000 żołnierzy, uzbrojonych pierwszorzędnie, jak na tamte czasy, zaatakowała wyspę Kyushu. W ten sposób zaczęła się straszliwa bitwa, ale wynik jej początkowo był wątpliwy. Kraj cały zamarł w przerażeniu i dopiero po modlitwach cesarza i cesarzowej, bóg wiatru zesłał tajfun, który zatopił mongolskich najeźdźców. Jedyna od czasów najdawniejszych do dnia dzisiejszego poważna próba inwazji Japonii zakończyła się klęską napadających — i to zostało z czasem uznane za jeszcze jeden znak „świętości" wysp.

Po pokonaniu wrogów wszystko wróciło do dawnej normy — i w XIV wieku jeden z wojskowych dyktatorów zesłał nawet cesarza na wygnanie, osadzając na tronie posłusznego następcę, który jednak nie został zanotowany przez oficjalną chronologię. Z kolei kwitnąca Kamakura — jak się należało tego spodziewać — została zrównana z ziemią, szogunat przeszedł w inne ręce, sytuacja kraju jednak przez to się nie polepszyła. Wprawdzie dzielny cesarz Go-Daigo z myślą o swoich boskich przodkach przepędził w 1333 roku ówczesnego dyktatora i sam ogłosił się władcą, ale szczęście trwało jedynie trzy lata, po czym musiał uciekać z Kioto na Południe, gdzie założył tzw. „południową dynastię", która następnie w ciągu 60 lat, wiodła nędzny i głodny żywot, chociaż posiadała „trzy znaki władzy cesarskiej". Przewódca wojskowy Ashikaga Takauji, zapoczątkował nową dynastię szogunów i przyczynił się do powstania nowej „północnej dynastii" cesarskiej, rezydującej w pałacach stołecznych bez posiadania żadnych znaków władzy. Później obie linie cesarskie zjednoczyły się, ale nie oznaczało to wzrostu ich znaczenia i bogactwa. Kiedy zaś sto trzeci cesarz Japonii, Go-Tsuchi-mikado, umarł w 1500 roku, jego zwłoki w ciągu 40 dni leżały bez pogrzebu, ponieważ na odpowiednią ceremonię brakowało pieniędzy. Dopiero syn zdołał pożyczyć nieco pieniędzy od mnichów buddyjskich i odpowiednio pogrzebał ojca.

W tym samym czasie szogunowie pozwalali sobie na najbardziej fantastyczne zbytki, a ich pałace w Kioto tonęły w luksusie. Jeden z nich — czego nie wolno nawet wspominać teraz w Japonii — nie tylko zgodził się przyjąć tytuł króla, nadany mu przez cesarza chińskiego, ale nawet płacił temu władcy roczny haracz.

W XV i XVI wieku doszła również do szczytu piracka akcja japońska u wybrzeży Korei, Chin, Indochin i Syjamu — i wielu awanturniczych Japończyków robiło nieraz świetne kariery w obcych krajach. W siedem lat po przybyciu pierwszych białych ludzi, Portugalczyków, na brzegi japońskie — słynny misjonarz, Franciszek Ksawery, dotarł w 1549 roku do Kyushu i zapoczątkował tzw. „chrześcijańskie stulecie" w Japonii. Zdawało się bowiem początkowo, że naród zostanie nawrócony, ale niestety różne przyczyny przeszkodziły niebawem temu.

Nikt nie twierdzi, że biali ludzie są idealni — i w XVI stuleciu mieli oni z pewnością, jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle samo — może tylko nieco innych — wad, jak i obecnie. Japonia otrzymała od nich zasady chrześcijaństwa, nieco zagranicznych towarów, broń palną, trochę trunków i choroby weneryczne, poprzednio w tym kraju nieznane. Biali ludzie nie umieli zaimponować — ciągle kłócili się i rywalizowali między sobą — i ostatecznie nie byli o wiele lepsi od tubylców. Japonia przeżywała zresztą wtedy swoje „czarne lata": władza cesarska zanikła nawet jako pozór, a liczni awanturnicy walczyli z sobą o stanowisko i tytuł szoguna. Najdzielniejszym wśród nich był bezsprzecznie Toyotomi Hideyoshi, zwany obecnie często „japońskim Napoleonem", chociaż wielu nacjonalistycznych japońskich historyków nie zgadza się z podobnym przydomkiem. Uważają oni, że nie należy pomniejszać znakomitego, rodzimego stratega, i że raczej Napoleon Bonaparte powinien być nazywany „francuskim Hideyoshi".

Ambicje tego zdolnego wojownika wykraczały poza wyspy i w swych planach nosił się on z zamiarami podboju Chin, opanowania Indii i odebrania Hiszpanom wysp Filipińskich. Jak zwykle w takich wypadkach pierwszą ofiarą stała się Korea — i w 1592 roku zaczęła się jego słynna wyprawa na piękny półwysep, będąca pierwszym wielkim japońskim najazdem na kontynent azjatycki. W Kioto można jeszcze obecnie oglądać wzniesienie, ozdobione pomnikiem, nazywane „kopcem usz" — na tym miejscu bowiem składane były liczne tysiące nosów i uszy, które żołnierze „japońskiego Napoleona" odcinali żołnierzom chińskim i koreańskim posyłając je następnie w prezencie swemu naczelnemu wodzowi. Pomyślna początkowo inwazja zakończyła się jednak niepomyślnie, gdyż flota chińska i koreańska przecięła linie zaopatrzeniowe armii japońskiej. Od tej pory Japończycy wiedzieli, że każda wyprawa na kontynent bez posiadania większej ilości okrętów wojennych jest niemożliwa.

Ostatnia dynastia szogunów, rodzina Tokugawów, zaczęła swe panowanie na samym początku XVII wieku i utrzymała się przy władzy w ciągu przeszło 250 lat. W 1600 roku nastąpił również pierwszy kontakt japońsko-angielski, ponieważ obywatel brytyjski, Will Adams, po wylądowaniu na Kyushu, dotarł do dworu szoguna, gdzie został bardzo uprzejmie przyjęty, i zaczął uczyć Japończyków wielu różnych praktycznych umiejętności, a zwłaszcza sztuki budowania większych okrętów. Nastawienie kosmopolityczne nowej dynastii dyktatorskiej nie trwało jednak długo — i z czasem zapoczątkowała ona tępienie cudzoziemców. Pierwszą ofiarą padli — jak zwykle — misjonarze, a po wielkim męczeństwie chrześcijan w 1622 roku w Nagasaki, resztki białych i żółtych wyznawców były w ciągu następnych lat wyławiane i męczone. W 1633 roku nowy rodzaj kary, tzw.

„tortura dołu", została zastosowana w stosunku do chrześcijan i aby jej uniknąć posądzeni o wyznawanie nowej wiary musieli deptać nogami znak krzyża i wizerunek Najświętszej Marii Panny. Ta „rozpoznawcza" metoda była od tego czasu stosowana stale przez ówczesną japońską policję.

Japonia zbliżyła się w ten sposób do wielkiej i decydującej o jej przyszłości daty — 1636 roku. Szogun Iyemitsu wydał wtedy słynny dekret o zburzeniu wszystkich japońskich okrętów, które mogą odbywać dłuższe pływania i zezwolił na utrzymywanie jedynie małych statków żeglugi przybrzeżnej. Niebawem w ogóle zabroniono Japończykom podróży do innych krajów, wszystkich cudzoziemców wydalono i przed ich statkami zamknięto porty. Szczególnie znienawidzeni byli Portugalczycy, których posądzano o największe intencje zaborcze, a gdy w 1640 roku przysłali oni poselstwo z Macao proponując ponowne nawiązanie stosunków handlowych, większość wysłanników została przykładnie zamordowana, a jedynie paru wróciło z powrotem do swej kolonii, aby przekazać swoim rodakom tablicę z następującym ostrzeżeniem japońskiego szoguna:

„Tak długo, jak słońce ogrzewa ziemię, niech żaden chrześcijanin nie będzie na tyle śmiały, aby przybyć do Japonii. Niech również wszyscy wiedzą, że jeśli nawet sam król Filip albo nawet sam Bóg chrześcijan, albo Wielki Budda naruszą ten zakaz — zapłacą za to swoimi głowami".

Japonia zamknęła się zupełnie — odizolowała się od reszty świata tak dalece, że nie potrafią sobie tego nawet wyobrazić najwybitniejsi izolacjoniści amerykańscy. Jedynie Nagasaki zostało otwarte dla ograniczonej ilości okrętów holenderskich i nielicznej kolonii holenderskiej pozwolono zamieszkać na pobliskiej maleńkiej wysepce Deshima, której brzegi zostały ogrodzone wysokim płotem tak, że „biali barbarzyńcy" mogli widzieć na lądzie jedynie szczyty wzgórz. Tych „białych barbarzyńców" poniewierano, szykanowano, traktowano jak więźniów, obrażano ich uczucia religijne, nieraz kazano im deptać znak krzyża. Znosili wszystko i wytrwali tam przeszło dwa wieki — chodziło przecież o zyskowny handel, na który oni mieli wyłączny monopol.

YAMATO DAMASHI

Piękność krajobrazu przekonała Japończyków już w najdawniejszych latach, że ich wyspy są „święte", chociaż stale się trzęsły, nigdy nie były zbyt urodzajne i nie obfitowały w bogactwa mineralne. Pierwotny kult natury z czasem zlał się z kultem przodków — i tak powstała religia, która właściwie nie jest zupełnie wierzeniem, a raczej ideologią, nazywana Shinto, czyli „droga bogów", zaludniająca niebo i ziemię 8 milionami różnych bóstw i bóstewek. W tym towarzystwie Japończycy czuli się świetnie, gdyż szczycąc się sami boskim pochodzeniem uważali się za „dzieci bogów", znajdujące się pod władzą żyjącej i stuprocentowej świętości, cesarza. W wieki później — buddyzm, wiara wszelkiego kompromisu, przejął panteon shintoistyczny — dołączyły się do tego etykieta konfucjanizmu i mistycyzm taoizmu — i tak w różnych odmianach i tysiącznych sektach trwały aż do końca XIX wieku skomplikowane i pomięszane z sobą nawzajem japońskie systemy wyznaniowe.

Boskie początki trzeba nieraz wyrazić językiem ludzkim. Pochodzenie narodu Yamato tonie jednak w mroku przeszłości — zwykle uchodzi on za mieszaninę szczepów malajskich, które przywędrowały z Południa, i mongolskich, które przybyły z kontynentu azjatyckiego przez Koreę — a następnie zmieszały się częściowo z tubylcami: białą rasą, wysokich, silnych Ajnów. Ten ostatni naród, spychany co raz bardziej na wyspy północne, gdzie jeszcze dotychczas istnieją jego resztki, miał podobno jako swych poprzedników tajemnicze plemię, nazywane Koro-pok-guru. Te mniej lub więcej naukowe teorie o pochodzeniu narodu japońskiego zostały już w naszym stuleciu zmodyfikowane przez niektórych nacjonalistycznych uczonych w Tokio i Kioto. Według ich opinii bowiem Japończycy są szczepem daleko starszym niż się przypuszcza, znanym w bardzo dawnych wiekach pod nazwą ludów uralo-altajskich lub Hindusów, który zapoczątkował — rządząc kontynentem azjatyckim — całą kulturę światową, a zwłaszcza kulturę chińską i indyjską. Ta skromna i umiarkowana „naukowa" teoria zyskuje ostatnio w Japonii na coraz większej popularności i niedawno została wprowadzona do podręczników szkolnych.

Podobnie w ostatnich dziesięcioleciach pewne postępowe protestanckie sfery japońskie rozreklamowały teorię, że Japończycy naprawdę są potomkami dwóch plemion żydowskich, które po niewoli babilońskiej nie powróciły do Palestyny, lecz powędrowały na Daleki Wschód! Dzięki temu nawet Biblia świadczy o tym, że mieszkańcy wysp „wschodu słońca" są narodem wybranym. Rzeczywiście — na drzeworytach Utamaro niektóre piękne Japonki mają arystokratyczny typ żydowski: długą, wąską, subtelną twarz o nieco zagiętym nosku — prawdopodobnie tak wyglądała biblijna Rachela. Tą teorią w 1941 roku sprytny Yosuke Matsuoka chciał podbić serca wpływowych żydów amerykańskich, a gdy to się nie udało, została ona natychmiast skasowana ze względu na stosunki z hitlerowskimi Niemcami.

Jedna rzecz w każdym razie drażni Japończyków najwięcej — twierdzenie, że ich bezpośrednimi przodkami byli Chińczycy i że ich kraj w dawnych latach był kolonią chińską. Złośliwi Chińczycy odpłacają się równą monetą i naprawdę bardzo złośliwie plotkują — wśród wielu innych powiedzeń — że wyspy japońskie nie tyle były ich posiadłością, ile bezludnym miejscem, dokąd zsyłali oni w dawnych wiekach swoich zbrodniarzy. Zbrodniarze ci żyli z miejscowymi małpami — i właśnie z tych związków powstała rasa Yamato. Taką obelgę można było jedynie zignorować albo odpowiedzieć na nią bardzo wyniośle. Słynny moralista japoński wybrał drugi sposób i napisał zdanie, w które wierzą stale wszyscy jego rodacy i które jest tak samo żywe i aktualne obecnie, jak ongi. Zapewnił on kategorycznie, że „moralność została wynaleziona przez Chińczyków, ponieważ byli oni bardzo niemoralnym narodem. Natomiast Japonia nigdy nie potrzebowała żadnego systemu etyki. Każdy Japończyk bowiem postępuje zawsze sprawiedliwie i słusznie, jeśli idzie za popędem swego serca!" Do tej polemiki dwóch narodów azjatyckich lepiej jest przeto się nie mieszać.

Ze względu na podstawowe zasady sprawiedliwości trzeba jednak pamiętać, że Japonia przed wiekami „pożyczyła" z Chin poza wyznaniami cały główny dorobek kwitnącej, środkowej dynastii T'ang'ów: metodę pisania, zasady wychowania i wy-

kształcenia, prawo, sztukę, system rolniczy, ceremoniał dworski i etykietę, jedwabnictwo, wino z ryżu, osobne małe stołki do jedzenia i kimono. Gdy później Chińczycy przestali nosić kimona i nauczyli się siedzieć na krzesłach, te nowości nie doszły na wyspy japońskie, które po kilku wiekach stężały w swoich dotychczasowych nabytkach i nie były łatwe do zaadoptowania nowych. Kultura narodu Yamato rozwinęła się przeto na podłożu chińskim, a chociaż później poszła w innym, własnym kierunku i wytworzyła pewne oryginalne ornamenty, zasadnicza jej treść nie uległa większej zmianie.

W malowniczej, pełnej starych, wiekowych świątyń Narze jeszcze teraz można kupić nieporównanej jakości sztylety, wyrabiane przez miejscowych mistrzów według znanych im tylko sposobów. Rzemieślnicy japońscy już dawno doszli do ogromnej biegłości w produkowaniu różnych gatunków szabel, które — jak stwierdzają nowoczesne badania — znacznie przewyższają w jakości szeroko rozreklamowane podobne wyroby damasceńskie. Za pomocą właśnie tej broni w ciągu długich stuleci udzielni panowie, "daymiowie", i ich rycerze, "samuraje", z największym zamiłowaniem mordowali się nawzajem dochodząc w tym do niesamowitej perfekcji i wykazując na tym polu wprost nieograniczoną fantazję. W dziejach każdego narodu naturalnie istnieją wojny domowe, ale w Japonii były one szczególnie okrutne, bardzo częste i bardzo krwawe wobec braku okazji do walki z wrogiem zewnętrznym. Feudalizm, najbardziej skrajny i konserwatywny, odgrywał w tym również swoją rolę, gdy bowiem klasy pracujące, stanowiące znaczną większość ludności, pracowały bardzo ciężko i mimo to nie mogły doczekać się końca swej nędzy, wzrastające w bogactwo i potęgę rody szukały ujścia dla swej energii i ekspansji.

Pierwszy szogun, Yoritomo, zdołał np. zorganizować armię w sile 240,000 walcząc ze swymi rywalami, a w średniowieczu stale na „świętych wyspach" operowały armie, liczące od 100,000 do 200,000 żołnierzy. Dzięki temu — jak stwierdza znany historyk prof. Murdoch — zaznaczyła się w dziejach Japonii „the traditional national attitude for warlike entreprises and the inherent capacity for organization". Europa mogłaby się nauczyć wiele z tego źródła, a gdy w XVI wieku nie widziała ona nigdy armii walczącej pod jednym sztandarem, liczącej więcej niż 60,000, ambitny „japoński Napoleon" wysłał na nieudały podbój Korei przeszło 200,000 samurajów.

Tradycje wojenne weszły tedy już bardzo dawno w życie japońskiego narodu i ukształtowały jego psychikę. Zarazem niezatarte piętno na tej psychice wywarł system rządzenia, który miał wszelkie cechy, nazywane obecnie totalnymi. Zwłaszcza za Tokugawów warunki ułożyły się zupełnie szablonowo — i każdy obywatel był już wtedy narażony na zarzut „niebezpiecznych myśli", był śledzony przez tajnych agentów, mógł zniknąć, zostać potajemnie zaaresztowanym lub zabitym, lub — w wypadku okazywania państwowej gorliwości — dostać się do grona „elity". Szogunowie rozbudowali szczególnie policję, a zarazem wpadli na ciekawy pomysł zabezpieczenia się przeciwko ewentualnym spiskom i powstaniom ze strony udzielnych baronów. Każdy baron mianowicie był obowiązany co rocznie spędzać na ich dworze sześć miesięcy, po czym mógł wracać do swych włości, zostawia-

jąc w stolicy — jako zakładników — żonę, dzieci i innych członków najbliższej rodziny.

Wpływ państwa na życie jednostki w ogóle był stale większy w Japonii, niż gdzie indziej — i w związku z tym nie mogły powstać przychylne warunki do rozwoju indywidualizmu. I tak wśród tych wszystkich wydarzeń wyrastały japońskie eposy rycerskie, bohaterskie i romantyczne, ustalały się narodowe pojęcia i zwyczaje oraz krystalizowała się "Yamato Damashi", czyli „najczystsza dusza narodu".

MEIJI TENNO

Sprawa, czy japońska panująca dynastia zasiada na tronie 2,600 lat bez przerwy, czy z przerwami i zmianami — nie ma zasadniczo większego znaczenia dla nikogo z wyjątkiem Japończyków. Mogą oni bowiem dzięki temu łączyć każdego żyjącego cesarza węzłami pokrewieństwa z boginią słońca — i z tego powodu mają okazję do wielu zachwytów i dumy. Ciągłość linii cesarskiej, która jest „niespotykana w jakimkolwiek innym kraju świata", stwarza aureolę nadziemskości nie tylko nad dynastią, ale także nad całym narodem i wyspami. I dlatego już w dawnych latach poeta Hitomaro zupełnie poważnie stwierdził w pięknie wykaligrafowanym i słynnym poemacie, że:

„Japonia nie jest krajem, w którym ludzie muszą się modlić, ponieważ ona sama jest już święta".

Niewątpliwie w całej japońskiej historii istnieje tylko jedna dynastia, której członkowie nieraz między sobą walczyli i nawzajem się detronizowali, ale która poza tym trwała i nie była nigdy odsunięta od pozorów władzy lub znaczenia. Ostatecznie przeto można nie robić przykrości Japończykom i zgodzić się na tę ciągłość, gdyby nie nadużywali oni jej w swej propagandzie i argumentacji. Dlatego należy nadmienić, że dziedzictwo japońskiego tronu nie było zawsze jedynie udziałem cesarskich synów, ale także innych męskich członków bardzo licznej, panującej rodziny. Następnie: adoptowanie od dawna jest w Japonii niesłychanie popularne i adoptowani synowie uchodzą za kontynuatorów rodu. Słynna japońska rodzina arystokratyczna Saionji — której wielki przedstawiciel, ostatni „genro", czyli stary mąż stanu umarł w 1940 roku — na mocy swego osobliwego statutu trwa od stuleci jedynie dzięki adoptacji, gdyż jej męscy przedstawiciele nie mogą się żenić. Cesarze podobnie posługiwali się dość często adoptacją, poza tym miewali liczne zastępy konkubin i dzieci z tych związków — jak na przykład ojciec obecnego cesarza — zasiadali na tronie. W romantyczne dzieje cesarzowych lepiej się nie zagłębiać, a dociekania genealogiczne w przeszłości są nudne i bezcelowe, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że najczęściej od każdorazowego szoguna zależało uznanie — za prawdziwego lub nie — syna każdego cesarza.

Najdziwniejsze jest jednak to, że przesadny kult boskości cesarza jest stosunkowo niedawny i zaczęli go szerzyć na większą skalę dopiero Tokugawowie. Po zainstalowaniu swej stolicy w Yedo, obecnym Tokio, zjednoczyli oni, uporządkowali i scentralizowali kraj osadzając cesarza w Kioto i otaczając go najwierniejszymi swoimi wasalami. Potomkowie bogini słońca od XVII wieku żyli bardzo wygodnie w dużych pałacach, ale naprawdę byli prawie więźniami. Pomysłowi szogunowie, aby uniknąć

powstań, spisków i innych podobnych niespodzianek, otoczyli ich czcią boską, zachowując dla siebie całą władzę świecką. Stało się to początkiem rehabilitacji cesarzy, przeznaczonej głównie dla szerokich mas ludności. Warstwy wyższe bowiem jeszcze przed 80 laty otwarcie drwiły z „rezydentów w Kioto", jak zapisał m. in. w swoich pamiętnikach Townsend Harris. Obecnie żaden najwyższy japoński dygnitarz, niezależnie od tego co myśli, nie ośmieli się skrytykować cesarza w najmniejszym drobiazgu w obecności najbliższych swoich przyjaciół.

Dynastia Tokugawów pod niektórymi względami zachowywała się i działała wyjątkowo, a chociaż zarzuca się jej, że zachowała, a nawet rozwinęła japoński feudalizm, że zamroziła rozwój kraju przez wtrącenie go w skrajną izolację — naprawdę dokonała nie bylejakiego, brzemiennego w pomyślne skutki wyczynu. Po odkryciu Ameryki, odnalezieniu drogi do Indii i opłynięciu świata przez Magellana — Hiszpania wraz z Portugalią zaczęły tworzyć fantastycznie wielkie imperia kolonialne, a w jakiś czas potem Niderlandy i Anglia również rozpoczęły podobną ekspansję, działając narazie za pomocą swych słynnych i potężnych kampanii handlu zamorskiego. Japonia w XVII wieku była państewkiem słabym i małym, na swoje szczęście położonym bardzo daleko od Europy — i to uratowało ją wtedy od podzielenia losu Filipin, Malaji lub Jawy. Nieporozumienia konkurencyjne przybyszów europejskich przedłużyły jej niepodległość, zanim zerwała ona kontakty z „białymi barbarzyńcami". Gdy później Chiny ocalały tylko dzięki swemu ogromowi, okupując się licznymi koncesjami przed natręctwem cudzoziemców, Japonia — zamknięta i niegościnna — była nietykalna. Tokugawowie — świadomie czy nieświadomie — sprawili to, że nie podpadła ona pod żadne wpływy obce, nie stała się niczyją kolonią lub protektoratem — i w drugiej połowie XIX wieku — kiedy stosunki międzynarodowe były inne niż przed laty — nowe, niezależne i scentralizowane państwo weszło na arenę światową.

Zdrowe poglądy na życie commodore Perry ujawniły się najlepiej również w fakcie, że podczas drugiej swojej wizyty na wodach japońskich obdarował on — wśród innych prezentów — większość japońskich dygnitarzy beczułkami wyborowej szkockiej whisky. Prezenty te zostały z wdzięcznością przyjęte, ale wszyscy przeciwnicy Tokugawów niebawem skorzystali z okazji, aby wystąpić z oskarżeniem pod adresem szoguna o utrzymywanie zbytecznych stosunków z cudzoziemcami. Opozycja skupiła się przy cesarzu, w miarę upływających lat potężniała, intrygowała i działała — pomagali jej w zwalczeniu dyktatorów również niektórzy zagraniczni dyplomaci, a zwłaszcza Anglicy, którzy w jakiś czas po Amerykanach przysłali swych przedstawicieli do Yedo. Możne rody, z klanami Satsuma i Choshu na czele, specjalnie reklamowali boskość cesarza mając nadzieję, że dzięki temu z czasem cała władza znajdzie się w ich rękach.

W 1867 roku 15-letni młodzieniec imieniem Mutsuhito wstąpił na tron japoński i rozpoczął tzw. erę Meiji, czyli erę „oświeconego panowania". Japoński zwyczaj bowiem wymaga, że każdy cesarz przy wstąpieniu na tron obiera z 68 chińskich słów, używanych na oznaczenie dobrego omenu, nazwę dla swej epoki — i pod tą nazwą znany jest po śmierci, za życia zaś liczone są według niej jedynie lata jego rządów. Japończycy nazywają swych władców: Tenno, co oznacza „syn nieba", lub rzadziej:

T e n s h i, co tłumaczy się „król nieba" — dlatego Mutsuhito jest znany obecnie ogólnie jako Meiji Tenno. Nazwę dla swej epoki obrał on bezsprzecznie znakomicie — stała się ona bowiem zwrotnym punktem w mocarstwowej karierze jego kraju, podobnie jak sam 126 potomek bogini słońca i 121 potomek pierwszego cesarza Jimmu wyrósł niewątpliwie do roli najwybitniejszego władcy Japonii w ciągu całej jej historii. Po długich wiekach zdołał on skupić pełnię władzy w rękach cesarzy. Już kilkanaście miesięcy po jego wstąpieniu na tron, panujący szogun podał się do dymisji — i dzięki temu w 1868 roku rozpoczęła się gruntowna przebudowa kraju, nazwana później „r e s t a u r a c j ą M e i j i".

„Odkrycie Japonii" a później jej „restauracja" zostały przywitane prawie na całym świecie z uznaniem — i prawie cały świat zaofiarował swą pomoc wyspiarskiemu państwu. Jedno bowiem było pewne: Japonii nikt nie mógł zaanektować lub podporządkować w jakikolwiek sposób — przeszkadzały temu nie tyle zasady międzynarodowe, które są zawsze możliwe do dowolnej interpretacji, ile rywalizacja mocarstw. Szereg państw próbowało zresztą środkami pokojowymi uczynić z Japonii domenę swoich wpływów, ofiarowując jej posiadany dorobek cywilizacyjny i kulturalny, dobre rady i grube pieniądze, ale nie było to wcale groźne. Kraj „wschodu słońca" postępował dostatecznie przebiegle — brał wszystko ze wszystkich źródeł, wygrywał toczące się o jego względy zabiegi konkurencyjne, nie ulegał nikomu i rósł sam w siłę i wpływy. Zupełnie bezwiednie wszedł on w tę szczęśliwą passę, w której zasadniczo przebywa dotychczas.

Wielkie japońskie rody pomyliły się. Meiji Tenno nigdy nie został marionetką w ich ręku — i wkrótce po przeniesieniu swej siedziby z Kioto do Yedo, nazwanego dumnie Tokio, czyli „stolicą Wschodu" — sam zaczął korzystać ze świętości swego stanowiska. W trzy lata po zapoczątkowaniu restauracji stary feudalizm padł ofiarą nowoczesnych idei — udzielni panowie zrzekli się zbiorowo wszystkich swych przywilejów na korzyść cesarza. W jesieni 1872 roku została w Japonii wprowadzona przymusowa służba wojskowa, i ku przerażeniu zawodowych wojowników, samurajów, zaczęła powstawać armia, składająca się z wieśniaków. Jednocześnie przeprowadzono reformę religijną, na podstawie której stary kult S h i n t o, oczyszczony od wszelkich naleciałości i wpływów buddyjskich, został uznany za podstawową ideologię państwową. Według tej ideologii należało szanować bogów, kochać ojczyznę, rozumieć zasady nieba i obowiązki obywatela, a przede wszystkim czcić cesarza i spełniać jego rozkazy. Te zasady stały się wkrótce normami, obowiązującymi wszystkich Japończyków, niezależnie od wyznania jakichkolwiek innych wierzeń.

W 1877 roku potężny wojskowy klan Satsuma, niezadowolony z ostatnich reform i zawiedziony w swoich ambitnych, dyktatorskich nadziejach, nagle się zbuntował pod przewodnictwem swego szefa, znanego pod nazwą W i e l k i e g o S a i g o — domagając się innego systemu rządzenia oraz wyprawy wojskowej w celu okupacji Korei. Armia wieśniaków jednak była lepsza od armii samurajów — buntownicy zostali rozbici i W i e l k i S a i g o popełnił samobójstwo. Mimo wszystko wzniesiono mu później w Tokio pomnik, ponieważ jego patriotyzm doczekał się ogólnego uznania nawet pośród zwolenników cesarza. Potem rewolucje i powstania ostatecznie ustały, a nowy ustrój rządowy

tak okrzepł i wzmocnił się, że nic już nie mogło go zachwiać. Niezaspokojone wojenne instynkty samurajów oczywiście nie wygasły, ale wkrótce znalazły możność wyżycia się poza granicami kraju.

Na czym polegała wielkość wielkiego cesarza Meiji? Nie reprezentował on z pewnością żadnej genialności, ale posiadał te wszelkie zdolności, które były niezbędne w jego warunkach i w jego czasach do tego, aby zostać doskonałym władcą. Niewątpliwie w pełni zrozumiał on potrzebę i znaczenie modernizacji swego kraju, poza tym odznaczał się zarówno rozwagą, jak i dość dużą śmiałością myślenia, pewną przedsiębiorczością, sporym praktycznym rozsądkiem, i — co było wiele — umiejętnością dobierania współpracowników. Ta ostatnia umiejętność jest rzeczywiście godna podziwu, gdyż w swoim zacofanym otoczeniu potrafił znaleźć szereg zdolnych ludzi, którzy zrozumieli ideę postępu i potrafili — mimo licznych przeszkód — wprowadzić ją w życie. Grono najbliższych doradców Meiji Tenno stało się z czasem nieprzewidzianą przez żadną ustawę pewnego rodzaju instytucją, nazwaną później radą „genro", czyli zgromadzenie „starszych mężów stanu". Ta rada zaczęła grać coraz poważniejszą rolę w japońskim życiu politycznym — i wpływy jej członków przetrwały daleko w głąb naszego stulecia. *)

FLORIAN SOKOŁÓW

OBITER DICTA

Porwanie Mussoliniego mogło dodać chwilowej otuchy różnego kalibru Quislingom, wzbudzając nadzieję, że może i oni kiedyś będą uratowani w krytycznej chwili, bo przecież żadnemu z nich nie uśmiecha się wydanie w ręce sprzymierzonych. Samolot, spadochron i łódź podwodna stwarzają nieograniczone możliwości tego rodzaju sensacyjnych "coup de force" i kto wie czy Führer razem z Il Duce nie będą w podobny sposób wybawieni — choćby na krótko — przez japońskiego sprzymierzeńca. Na tle wypadków, rozgrywających się na frontach, cały ten epizod jest raczej krotochwilnym divertissement w dramacie pękniętej osi. Daremnie stara się propaganda niemiecka wyolbrzymić jego znaczenie tak samo, jak tydzień wcześniej celebrowała, jako wielki sukces, symbolizujący siłę Reichu, kilkugodzinny raid na Spitzbergen. Jeszcze niedawno propaganda ta przedstawiała upadek faszyzmu włoskiego, jako sprawę dla Niemiec obojętną, twierdząc, że nie jest to wojna o ideologie i regime'y, i że Włochy dalej będą takim samym sojusznikiem, jak przedtem. Oczywiście, był to absurd, musiała więc prędko cofnąć się na stare pozycje. Dzisiaj Niemcy usiłują wskrzesić faszyzm. Przedsięwzięcie beznadziejne. W tym sensie porwanie Mussoliniego jest raczej ekshumacją politycznego trupa.

*) W najbliższym numerze „Nowej Polski" dokończenie cyklu p.t. „Wizyta w Hayamie".

Któż bowiem wierzy jeszcze dzisiaj w przyszłość Mussoliniego po dwudziestu latach rządów, które sprowadziły na Włochy bezprzykładną serię klęsk i wreszcie kapitulację. Jedyna korzyść, jaką ten melodramatyczno-gangsterski gest może przynieść Niemcom to podsycanie wojny domowej we Włoszech, aby utrudnić inwazję sprzymierzonych.

Cała rzecz zasługuje na uwagę i pod innym względem. W rozważaniach na temat sytuacji w Niemczech i ewentualnego załamania się „fortecy hitlerowskiej" od wewnątrz dużo mówi się o różnych żywiołach niemieckich, a znacznie mniej o najważniejszej linii podziału między nimi — w danym wypadku. W tej „fortecy" znajduje się kilkadziesiąt, a może i kilkaset tysięcy ludzi, którzy nie mają nic do stracenia i walczyć będą do ostatka w przekonaniu, że tą drugą alternatywą jest wyrok śmierci trybunału sprzymierzonych albo też samosąd doraźny ze strony ludności okupowanych krajów, a może i ze strony własnych rodaków. Wobec takich perspektyw to pierwsze wyjście jest bardziej pociągające, bo wolno im łudzić się, że wojna jest zawsze rzeczą nieobliczalną i w ostatniej chwili może nastąpić jakiś cud, który ich ocali. Ale to, co grozi Hitlerowi, Himlerowi, Goebbelsowi, Frankowi i wszystkim zarejestrowanym przestępcom wojennym, nie musi zagrażać Keitlowi, Rommlowi, von Doennitzowi i wielu innym wyższym generałom czy też admirałom niemieckim. Reakcje przewódców partii i dowództwa Reichswehry na ewentualność przegranej wojny muszą być z natury rzeczy różne. Z chwilą, kiedy generałowie dojdą do wniosku, że dalsze prowadzenie wojny jest szaleństwem, wyniknie pomiędzy nimi a Hitlerem konflikt bardzo „żywotnych" interesów. Coś w tym rodzaju nastąpiło we Włoszech. Jeśli Hindenburg i Ludendorff skapitulowali i nic złego im się nie stało, lecz przeciwnie, prestige Hindenburga, jako bohatera narodowego wzrósł jeszcze i został on prezydentem Rzeszy, czemuż nie mają skapitulować dzisiejsi generałowie niemieccy? Oczywiście droga ta zamknięta jest dla Hitlera. Ale wielomilionowej armii nie sprawi zbyt wielkiej trudności załatwienie się z nim, gdy zajdzie tego potrzeba. Nie ulega wątpliwości, że w kalkulacjach swych Hitler bierze pod uwagę jako czynnik, działający na jego korzyść, coraz większą ilość ofiar spośród ludności cywilnej, spowodowaną bombardowaniem, licząc że to rozpali jeszcze bardziej nienawiść Niemców do sprzymierzonych i wznieci ją w krajach podbitych. W ten szatański sposób chce on scementować krwią Europę. Ostatnio, jednym ze stałych refrenów propagandy niemieckiej, zwłaszcza w języku francuskim, jest: „Oni mówią, że niosą wam wyzwolenie, a widzicie, że was zabijają". Lecz argument ten nie ma najmniejszego efektu. Najlepszym dowodem tego jest rosnąca fala sabotażu i walk na froncie podziemnym również na tych terenach okupowanych, które bardzo ucierpiały z powodu nalotów powietrznych.

* * *

Na początku lipca b.r. Churchill przemawiając w Guildhall z okazji nadania mu honorowego obywatelstwa Londynu zapowiedział, że nastąpią ważne wydarzenia, zanim opadną liście jesienne. W oświadczeniu tym nie było źdźbła przesady. Liście jesienne jeszcze nie opadły, gdy słowa te piszę, a cały obraz wojny w Europie zmienił się nie do poznania. Sycylia zdobyta została w rekordowo szybkim czasie. Regime faszystowski załamał się. Nastąpiła inwazja, a wkrótce potem kapitulacja Włoch. Przewi-

dywania hr. Sforza, które przytoczyliśmy w lipcowym numerze „Nowej Polski” sprawdziły się. Twierdził on że gdy tylko sprzymierzeni wylądują we Włoszech, ludność powita ich radośnie, jako oswobodzicieli, wyprze się faszyzmu i naród włoski przejdzie na stronę zwycięskich demokracyj. Inwazja nie poszła tak gładko, jak pierwotnie przypuszczano. Niemcy działali błyskawicznie i sprowadzili znaczne posiłki, opanowując całe północne i środkowe Włochy. Wojska sojusznicze pod Salerno, znalazły się przez kilka dni w krytycznej sytuacji, ale radość Niemców, że udało im się zainscenizować „nową Dunkierkę” była przedwczesna. Alianci nie tylko utrzymali swój przyczółek mostowy, lecz przeszli do natarcia. Po połączeniu się ósmej armii generała Montgomery z piątą armią amerykańską, operującą na odcinku Salerna, kampania włoska weszła w nową fazę. Jasne jest, że wszystkie wysiłki dowództwa niemieckiego są w najlepszym wypadku tylko akcją opóźniającą, bo wynik tej kampanii jest przesądzony. Cała flota włoska jest w ręku sprzymierzonych, resztki armii włoskiej — 65 dywizyj — są bądź rozbrojone, bądź też współdziałają z sojusznikami. Terror okupanta niemieckiego nie był w stanie złamać oporu patriotów włoskich, zarówno w środkowych, jak i północnych Włoszech. Alianci zajęli już szereg wysp Dodekanezu. Niemcy musieli ewakuować Sardynię. Cała prawie Korsyka została już zdobyta przez wolnych Francuzów. Nielepiej przedstawia się sytuacja Niemiec na Bałkanach. Tam powstańcy jugosłowiańscy opanowali znaczną część wybrzeża Adriatyku z portem Split. Przyłączyły się do nich wojska włoskie. Ale to wszystko jeszcze tylko początek. Dalsze skutki odpadnięcia Włoch od osi nie dadzą na siebie długo czekać. A jako kompensatę za to wszystko Niemcy zdobyli szczątki Mussoliniego i jego czarnych koszul.

Podczas gdy front południowy przesuwa się na północ, front wschodni przesuwa się na zachód. T.zw. forteca europejska Hitlera kurczy się, jak „peau de chagrin”. Rosjanie szybko zbliżają się do linii Dniepru, a może już zdobędą Kijów lub Bobruisk, gdy słowa te ukażą się w druku. Generalny odwrót niemiecki odbywa się w warunkach coraz cięższych i wydaje się mało prawdopodobnym, by przy tym „skracaniu” frontu na tak olbrzymich obszarach utrzymana została łączność pomiędzy poszczególnymi armiami i nie obeszło się bez wielkich strat w sprzęcie bojowym i jeńcach, nie mówiąc już o fatalnym efekcie takiej operacji na morale wojsk.

Zbyteczne nadmieniać, że ten stan rzeczy nie pozostał bez wpływu na satelitów osi i Quislingów. Są wszelkie oznaki, że czekają oni tylko odpowiedniej chwili by wycofać się z beznadziejnej dla nich wojny. Kryzys polityczny na Węgrzech i w Bułgarii przyjmuje rozmiary coraz groźniejsze dla Niemców. Premier Finlandii złożył niedawno znamienne oświadczenie, które komentowane jest jako gotowość do zawarcia oddzielnego pokoju.

Wkraczamy niewątpliwie w nowy, może ostatni etap wojny. Jak długo ona potrwa trudno z dokładnością przewidzieć. Rządy Anglii i Ameryki ostrzegają opinię publiczną przed przesadnym optymizmem, ale wiele przemawia za tym, że Niemcy nie wytrzymają piątej zimy, tym bardziej, że ich forteca nie ma i nie może mieć dachu, a niedługo już znajdzie się na całym obszarze w zasięgu bombardowania, coraz gwałtowniejszego. Byłoby

czymś zupełnie nieprawdopodobnym, gdyby w takich warunkach morale ludności nie załamało się ostatecznie.

Już przed rokiem, gdy Niemcy zmuszeni byli przejść od ofensywy do defensywy jasne było, że wojnę przegrali. Już wówczas jedyną nadzieją ich było poróżnienie aliantów. Nie trzeba być biegłym w strategii, by zrozumieć, że przy stale wzrastającej dysproporcji sił na rzecz aliantów, nawet gdyby morale obu stron było na jednakowym poziomie, inny koniec jest nie do pomyślenia. Zresztą sam slogan „forteca europejska" był najlepszym tego potwierdzeniem. Propaganda Goebbelsa, bynajmniej nie świadcząca o jego pomysłowości, łączyła go z innym sloganem: „Czas pracuje dla Niemiec". Chwila zastanowienia się wystarczy, by zrozumieć, że te dwa slogany kłócą się ze sobą. Czas nigdy nie pracuje dla oblężonych, a zawsze dla oblegających, chyba że załoga fortecy jest stale wspomagana z zewnątrz i w końcu nadchodzi odsiecz. Kto może przyjść Niemcom z odsieczą? Japonia? Nawet najgłupszy robot Hitlera na pewno w to dzisiaj nie wierzy. Musiałaby przeskoczyć przez całą Azję. Gdy Niemcy byli na Kaukazie, szli na Egipt, Suez, Bliski Wschód, gdy zapuszczali już macki swe w Iraku i Persji, współdziałanie z Japonią było rzeczą realną. Ale wtedy, oczywiście nie mówili o „fortecy europejskiej", tej fortecy, a raczej więzieniu, oblężonym dzisiaj przez cały świat. Oblężenie to może mieć tylko jeden wynik.

* * *

Czwarta rocznica wybuchu wojny była jeszcze jedną okazją do popisów retoryki okolicznościowej. Ludzie są tak znudzeni i znużeni uroczystymi komunałami, że mogłyby one być z wielkim pożytkiem racjonowane. Trzeba przyznać, że Anglicy zbytnio nimi nie szafują. Ich patriotyzm jest rzeczą tak naturalną, że może się obejść bez sztucznych podniet słownych. Patos razi ich bodaj jeszcze bardziej w czasie wojny, niż podczas pokoju. W obliczu tragedii dzisiejszej, która jest najwyższym patosem, wywołuje on efekt wręcz odwrotny zamierzeniom — jakiś przykry a n t i c l i m a x. Istnieje klasyczna anegdota o marynarzu, który na sygnał Nelsona pod Trafalgarem: „Anglia oczekuje, iż każdy z was spełni swój obowiązek" burknął: „Czyżby ta stara bestia miała jakieś wątpliwości" (po angielsku brzmi to znacznie dosadniej).

Toteż zupełnie odpowiadało mentalności i zwyczajom angielskim, że 3 września był dniem powszednim bez specjalnych obchodów, prócz nabożeństw. Inwazja Włoch i bombardowanie Berlina były najlepszym uczczeniem tej daty. Prasa i radio zestawiały bilans dotychczasowych osiągnięć, unikając bardzo zawodnych proroctw. Niektóre wypowiedzi, jak na przykład artykuł Harry Hopkinsa, doradcy i bliskiego przyjaciela prezydenta Roosevelta, mogły raczej podziałać, jak zimny prysznic na głowy ludzi, spodziewających się z dnia na dzień katastrofy Niemiec. Oświadczenia późniejsze Morgentau'a i samego Roosevelta oraz Churchilla utrzymane były w podobnym duchu. W tym właśnie tkwi, między innymi, siła demokracyj anglosaskich, że mogą sobie pozwolić nie tylko na trzeźwą ocenę trudności, jakimi najeżona jest jeszcze droga do zwycięstwa, lecz nawet na wyolbrzymianie ich. Wytrzymują one „wojnę nerwów" nie gorzej, niż Blitz.

W związku z rocznicą wybuchu wojny nasuwają się różne wspomnienia i refleksje, które nie straciły aktualności. Czy za-

skoczyła ona Anglię? Jak Anglia reagowała na atak Hitlera na Polskę? Czy były jakieś objawy wahania się opinii publicznej w przyjściu z pomocą Polsce?

Z obowiązku dziennikarskiego śledziłem za falowaniem tej opinii w kryzysach ostatniego dziesięciolecia. T.zw. „man in the street", przeciętny obywatel, prawie do ostatniej chwili nie wierzył w wojnę. To samo zresztą, może w mniejszym stopniu, było i w innych krajach. Łudził się tutaj ten szary człowiek, że Hitler tylko grozi, szantażuje, ale nie odważy się zaryzykować wojny z Anglią i Francją, zwłaszcza po daniu przez Anglię gwarancji Polsce.

Przypominam sobie kilka rozmów, dających pewien wyraz nastrojów, jakie wówczas tu panowały. Mój bank manager, bardzo zrównoważony, spokojny gentleman, był zwolennikiem Chamberlaina, jakkolwiek uważał, że jest on najmniej odpowiednią osobą do pertraktacyj z Hitlerem, ponieważ „he has no experience in wrong doing". Sądził on, że jeśli kryzys wrześniowy r. 1938 rozszedł się po kościach, kiedy Anglia nie była związana żadną gwarancją, to cóż dopiero po zażyrowaniu przez nią „weksla polskiego". Uważał za wykluczone, by Hitler przypuszczał, że jeszcze raz uda mu się coś w rodzaju Monachium, „bo przecież musi wiedzieć, że Anglia nie może nie dotrzymać słowa". Był więc pewien, że wojny nie będzie. Mój sąsiad, osiemdziesięcioletni staruszek, stale czytający „New Statesman and Nation", radykał i sceptyk, poza tym gorący pacyfista, nie miał pewności. Sarkał na Churchilla, że podnosi alarmy, nie miał zaufania do Francji, ale kiedyś powiedział mi nie bez złośliwości, że jeśli dojdzie do wojny, to tylko Churchill powinien zostać premierem, bo „Winston enjoys war". Często rozmawiałem również o tych sprawach z jowialnym „builderem", który przychodził naprawiać różne rzeczy w domu. Ten znów był entuzjastycznym zwolennikiem Sowietów i wymyślał na rząd, że nie chce dojść z nimi do porozumienia. Nienawidził Hitlera i był bardzo zrozpaczony paktem niemiecko-sowieckim, ale i on, manipulując przy zakładaniu black-out'u, zauważył, że przecież ludzie nie zwariują do reszty i nie dopuszczą do nowej rzezi.

Przesadą byłoby twierdzenie, że angielskie koła polityczne uważały wojnę za nieuniknioną krótko przed jej wybuchem, nie mówiąc już o początku lata 1939, kiedy bardzo mało zdawały sobie one sprawę z nadciągającej burzy. W maju odbyła się w Hyde Parku wielka demonstracja Labour Party przeciw wprowadzeniu powinności wojskowej. Przypomina mi się drobny, ale charakterystyczny szczegół. Gdy nadeszła wiadomość, że krążowniki niemieckie mają przybyć do Gdańska na uroczystości z okazji rocznicy bitwy pod Tannenbergiem, wpadło mi na myśl, by ktoś wystąpił z projektem wysłania angielskich okrętów wojennych do Gdyni na rocznicę Grunwaldu, przypadającą wcześniej. Zasugerowałem kilku posłom lewicowym tego rodzaju list do „Times'a". Pomysł spodobał im się, ale twierdzili, że rząd nigdy nie zgodzi się na podobny krok, bo to tylko zaostrzyłoby kryzys, który „przecież musi minąć", nie chcieli więc angażować swych nazwisk. List taki, napisany przez jednego z mych przyjaciół angielskich, zjawił się 11 lipca w „Daily Telegraph'ie". Argumenty jego były mocne i przekonywujące. Przytoczę tu jego konkluzję: „Polska jest sprzymierzeńcem Anglii. Oba rządy związane są wzajemną gwarancją przeciwstawienia się agresji niemieckiej.

Uważam, że wizyta brytyjskich i francuskich krążowników w Gdyni może mieć najbardziej pożądany skutek. Będąc w charakterze swym zupełnie analogiczna z wizytą okrętów niemieckich w Gdańsku, nie może ona być kwestionowana przez Niemcy, jako prowokacja. Z drugiej strony pewien jestem, że wizyta taka byłaby powitana z zadowoleniem nie tylko przez Polskę i państwa bałtyckie, lecz i przez Rosję, jako dowód przyjaznej czujności mocarstw zachodnich w krytycznym miejscu i w krytycznej chwili". List ten nie znalazł najmniejszego oddźwięku, a kto wie, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby w owych krytycznych chwilach angielskie i francuskie okręty wojenne obecnością swą w Gdańsku świadczyły choćby symbolicznie, że sprzymierzeńcy Polski stoją na straży jej bezpieczeństwa. Nawet po 23 sierpnia t.j. po zawarciu paktu niemiecko-sowieckiego nie brak tu było optymistów. Wiedziano wprawdzie że Anglia nie jest dostatecznie przygotowana do wojny, ale któż mógł przewidzieć załamanie się Francji. Kompleks „linii Maginota" miał również swój wpływ i na mentalność angielską. Rachunek sił wypadał w powszechnym przekonaniu raczej na korzyść mocarstw zachodnich. Przypuszczano, że Polska będzie się bronić przez kilka miesięcy a w międzyczasie alianci nadrobią swe braki. Niedoceniano Luftwaffe, czołgów i piątej kolumny.

Wypowiadając wojnę Niemcom rząd angielski miał za sobą cały naród, nie wyłączając komunistów, którzy dopiero później na rozkaz otrzymany od Kominternu uznali ją za „imperialistyczną". Opinia angielska nie zdradzała najlżejszego wahania. Posłowie liberalni i socjalistyczni w ciągu dwóch dni od najazdu na Polskę przynaglali rząd, by nie zwlekał i spełnił warunki przymierza. Gdy wreszcie zapanował stan wojny między Anglią i Francją a Niemcami, przeciętny obywatel angielski oczekiwał udzielenia natychmiastowej pomocy Polsce. Był on przekonany, że rozpocznie się ofensywa aliantów na linię Zygfryda, a w każdym razie, że alianci zrobią wszystko możliwe, by odciągnąć znaczne siły niemieckie i że ich lotnictwo wejdzie do akcji. W tym duchu wypowiadała się również prasa popularna. Wprawdzie rząd już od pierwszej chwili stanął na stanowisku, że jest to wojna na wyczerpanie i że potrwa trzy lata, ale naród angielski nie zrozumiał tego, jako roli zupełnie biernej w stosunku do najazdu na Polskę.

* * *

„Man in the street" zaskoczony wojną, nie zdawał sobie sprawy czym jest w rzeczywistości Blitzkrieg, rozpętany nad Polską. Sumienie jego poruszone do głębi zdradzieckim napadem na słabszego przeciwnika, ale działo się to daleko i trudno mu było zorientować się w szczegółach kampanii wrześniowej. Czy był nią rozczarowany? Z początku można było zauważyć pewne rozczarowanie, ale trwało to krótko. Zresztą opinia angielska była wówczas tak zaabsorbowana mobilizacją, obroną przeciwlotniczą i przeciwgazową, ewakuacją dzieci itd., że stosunkowo mniej uwagi poświęcała w pierwszych dniach wojny wypadkom na froncie polskim.

W miarę tego, jak napływały dokładniejsze wiadomości o walkach w Polsce, stało się jasne, że Polska bronić się nie może i że dni jej oporu są policzone. Wiedziano tutaj, że wojska polskie biją się walecznie, zgrozą przejmowały publiczność angielską okropności Blitzu, o których czytała w gazetach, ale dopiero obrona

Warszawy skupiła całą jej uwagę na dramacie, jaki się w Polsce rozgrywał. Z dnia na dzień oczekiwano tu kapitulacji. „Czy to możliwe — pytali mnie Anglicy — że Warszawa jeszcze się trzyma?” Po odrzuceniu ultimatum niemieckiego oblężona Warszawa zajaśniała jeszcze większą chwałą. Wszyscy poczuli tutaj, że sprawa ta ich blisko obchodzi, że lud Warszawy broni nie tylko siebie i nie tylko Polski. Pod tym względem nie było różnicy pomiędzy szerokimi masami, dla których Warszawa była dalekim nieznanym miastem, a tymi co lepiej uświadamiali sobie rolę, jaką Polska odegrała, przeciwstawiając się pierwsza agresji niemieckiej. Warszawa stała się symbolem i pobudką. „It is magnificent” — mówili Anglicy pełni podziwu. Bohaterska obrona Warszawy — pisał „Times” — olśniła wyobraźnię świata. Dumniej biły serca wszystkich miłujących wolność w owych tygodniach, na myśl do jakich cierpień zdolni są ludzie w obronie swej wolności. Dowiedli oni, jak wielkim jest naród polski i przekonali świat, że przywrócenie Polsce należnego jej miejsca wśród narodów Europy jest jedną z tych spraw, o które największe mocarstwa mogą walczyć z dumą, ryzykując wszystko, co posiadają!

“Warszawa wciąż walczy!” „Warszawa się nie poddaje!” Warszawa pali się, jak pochodnia wolności!” “Lud Warszawy rzuca się z gołymi rękami na czołgi niemieckie!” Co dzień można było znaleźć w prasie angielskiej tego rodzaju nagłówki.

„Nie znam nazwiska dowódcy wojskowego, który wykazał tyle męstwa i dzielności w obronie Warszawy — pisał Lloyd George w „Sunday Express” — ale jest tam osoba cywilna, której niezłomna odwaga i natchnione kierownictwo żyć będą wiecznie w historii jego ojczyzny; lord-mer Warszawy, Stefan Starzyński.... Jego odpowiedź na pożegnalny apel uciekającego prezydenta Polski jest najpiękniejszym i najbardziej wzruszającym wzorem patriotyzmu w tak rozpaczliwej dla narodu chwili!” Lloyd George był jednym z tych, którzy wówczas najmocniej atakowali rząd za to, że Anglia ograniczyła się do roli widza w tej tragedii, nie dlatego by kierował nim specjalny sentyment dla Polski. Jako wódz bez partii, był on mniej skrępowany od opozycji, która weszła już do rządu. Ale to, co wówczas pisał, niewątpliwie odpowiadało poglądom olbrzymiej większości społeczeństwa angielskiego. Przytoczymy tu niektóre ustępy z jego artykułów, które były aktem oskarżenia rządu Chamberlaina.

“Od pierwszej chwili Polska nie miała najmniejszej „fighting chance”. W ciągu pierwszych dwóch dni wojny niebo nad tym nieszczęśliwym krajem zdobyte zostało przez lotnictwo nieprzyjacielskie, przewyższające dziesięciokrotnie ubogie siły powietrzne Polski... Najeźdzcy mieli łatwe zadanie, podbijając ten kraj zupełnie nieprzygotowany do podjęcia z nimi walki. Jakkolwiek nieoczekiwane szybkie załamanie się oporu spowodowane zostało w dużym stopniu nieprzezornością rządu Polski (is largely due to the improvidence of Polish Government), na nas ciąży znaczna część odpowiedzialności. Daliśmy gwarancję Polsce przed szeregiem miesięcy. Gwarancja ta wciągnęła nas w trzyletnią co najmniej wojnę, która nałożyła na nas olbrzymie obowiązki i pochłonie olbrzymie ofiary. Mimo to nie zatroszczyliśmy się, by zbadać braki naszych sprzymierzeńców i naprawić je. Gdy zwrócili się oni do nas z prośbą o pożyczkę na zakup nie-

zbędnego sprzętu wojennego, Sir John Simon zwlekał przez cały miesiąc, starając się narzucić im nieodpowiednie warunki, a w końcu zaproponował sumę mniejszą, niż jednodniowy koszt naszej poprzedniej wojny. Gdy wreszcie wojna wybuchła i Niemcy wtargnęli do Polski przez dwa dni nie mogliśmy się zdobyć na decyzję o potem nic nie uczyniliśmy, co mogłoby w najlżejszym stopniu osłabić ciężar i impet ataku niemieckiego. Czy mogliśmy coś uczynić? Oczywiście. Mogliśmy pomóc naszym sprzymierzeńcom kontratakiem powietrznym. Olbrzymia przewaga Luftwaffe sparaliżowała ruchy wojsk polskich. Wspólne siły lotnicze Anglii i Francji mogły przeprowadzić tak niszczący atak na ośrodki niemieckiego przemysłu wojennego, że zmusiłoby to naczelne dowództwo niemieckie do wycofania znacznej części Luftwaffe z Polski na zachód dla stoczenia bitwy o panowanie w powietrzu. Dałoby to Polsce niezbędny czas na reorganizację i wzmocnienie obrony".

Czy akcja powietrzna mocarstw zachodnich odniosłaby zamierzony skutek i czy mogły one podjąć wówczas walkę z wielokrotnie silniejszą Luftwaffe? Na te pytania mogli odpowiedzieć i wysnuwać stąd wnioski bardziej wtajemniczeni w stan rzeczy, niż szeroka opinia. Doktryna długiej wojny, obliczonej na wyczerpanie przeciwnika, a więc na szczędzenie sił własnych, która przyjęta została głównie pod naciskiem Francji, znalazła się w kolizji z obowiązkiem natychmiastowego przyjścia z pomocą sprzymierzeńcowi. Szeroka opinia angielska boleśnie kolizję tę odczuwała, zwłaszcza przed 17 września, bo po inwazji naszego wschodniego sąsiada pomoc taka była już spóźniona i bezcelowa.

W ciągu tych czterech lat demokracje anglosaskie wiele się nauczyły. Poznały one tak oczywistą, zdawałoby się, prawdę, którą długo i uparcie bojkotowano, że p o k ó j j e s t n i e p o d z i e l n y. Jakże bezdennie naiwną musi wydawać im się dzisiaj maksyma: „Bezpieczeństwo Anglii leży nad Renem", która jeszcze względnie niedawno uważana była za szczyt angażowania się W. Brytanii w Europie, lub też polityka izolacjonistów amerykańskich, odwracających się tyłem od całego świata. Krótko przed wojną jeden z wybitniejszych publicystów angielskich pisał, parafrazując słynne powiedzenie Bismarka, że „wszystko, co leży między Renem a Dardanelami nie warte jest kości grenadiera brytyjskiego". Dużo brytyjskich a znacznie więcej innych grenadierów złożyło swe kości za tego rodzaju złudzenia i fałszywe teorie. A pakt Kelloga, który miał przestraszyć agresorów, moralnymi zaklęciami bez żadnych absolutnie zobowiązań pomocy napadniętemu — szczyt angażowania się Ameryki — czyż nie był jakąś ponurą groteską? Dziwnym wydaje się dzisiaj, że ludzie poważni mogli rzeczy te na serio traktować. Demokracje anglosaskie poznały również inną prawdę, że wszystkie pakty bezpieczeństwa są instrumentem bardzo niebezpiecznym, nawet przy najlepszych zamiarach, jeśli nie stoi za nimi dostateczna siła zbrojna. Wielki sukces książki Waltera Lipmanna p.t. „U.S.A. Policy", która rozeszła się w milionach egzemplarzy, świadczy, że w opinii amerykańskiej istotnie nastąpił radykalny zwrot i że trzeźwiej ustosunkowuje się ona do problemów pokoju i wojny. P. Lipmann jasno wytłumaczył swym rodakom, że tylko dlatego tak długo korzystali oni z dobrodziejstw pokoju, bo istniała potężna flota brytyjska, panująca na oceanach. Ten znakomity pisarz polityczny, który w swoim czasie należał do bliskiego oto-

czenia prezydenta Wilsona i brał udział w redagowaniu jego czternastu punktów (celów tamtej wojny), przeszedł radykalną metamorfozę od marzycielskiego liberalnego idealizmu w stosunku do zagadnień międzynarodowych do stuprocentowego „realizmu". Zaleca on sojusz Anglii, Ameryki i Rosji, jako „nuclear alliance" do którego przyłączyłyby się później inne państwa.

Jego koncepcje nasuwają wiele zastrzeżeń, zwłaszcza neutralizacja państw między Niemcami a Rosją (wojna obecna dostatecznie wykazała jaką fikcją jest neutralność), poza tym do całego problemu pokoju podchodzi on tylko od strony mechanicznej, jako kombinacji sił przeciw agresorom. Mieliśmy to już po tamtej wojnie. Wtedy również czyniono podobne próby, były przymierza i porozumienia państw pokojowych, reprezentujące znacznie większą siłę od ewentualnych napastników. Błąd wszystkich tego rodzaju koncepcyj, dobrych może na krótką metę, polega na tym, że, operując równowagą czy też dominacją sił, pomijają one momenty ideologiczne. Przywiązują główną wagę do form zewnętrznych i konstrukcyj organizacyjnych, pomniejszając znaczenie procesów wewnętrznych w poszczególnych państwach, które na dłuższą metę nie mogą być zlokalizowane. Niemniej jednak książka p. Lipmanna, który nielitościwie rozprawia się z izolacjonizmem amerykańskim, apelując do praktycznego rozsądku swych rodaków, ma niewątpliwie pożądany wpływ. Najlepszym dowodem, że odpowiada ona nastrojom społeczeństwa jest fakt, że Izba Reprezentantów uchwaliła olbrzymią większością 360 przeciw 29 rezolucję na rzecz współpracy Stanów Zjednoczonych „w utrzymaniu sprawiedliwego i trwałego pokoju".

Bardziej jeszcze pocieszającym jest sukces innej książki p.t. „Under Cover", która pobiła wszystkie rekordy, jako „best seller". Autor, ukrywający się pod pseudonimem John Roy Carlson badał przez cztery lata „front podziemny Hitlera" w Ameryce i opowiada rzeczy rewelacyjne o rozgałęzieniach „piątej kolumny". Zręcznie zakonspirowany, był on członkiem całego szeregu „patriotycznych" grup i związków, między innymi „American National Socialist Party", „German American Bund", „Christian Front", „Grey Shirts", „American First Committee" itd. Materiał, jaki zgromadził o działalności agentów hitlerowskich i bardzo pstrej mieszaniny ludzi, niekiedy na wysokich stanowiskach, współdziałających z nimi, nie wyłączając członków Kongresu, jest tak sensacyjny i alarmujący, że nie można się dziwić silnemu wrażeniu, jakie książka ta wywarła.

Trzeba przyznać że ta podziemna robota prowadzona była z doskonałą znajomością rzeczy. Warto tu przytoczyć konkluzje, do jakich doszedł autor, omawiając jej metody, które po objęciu władzy przez Hitlera propaganda niemiecka zaczęła stosować we wszystkich krajach, uwzględniając, oczywiście, warunki lokalne. Wariant amerykański programu Nazich, obliczonego na rozsadzanie demokracji od wewnątrz, streszcza autor w piętnastu punktach. 1) Antysemityzm, jako czynnik rozkładu społecznego (social solvent); 2) straszak bolszewicki, jako dymna zasłona dla propagandy nazistowskiej; 3) kłamstwa lub pół-prawdy dla uzyskania poparcia niewyrobionych politycznie mas; 4) hurra-patriotyzm dla wywołania reakcyj emocjonalnych; 5) szowinizm, operujący sloganami „America first", „America for Americans"; 6) anty-brytyjska agitacja, skupiająca Niemców, Irlandczyków, Hiszpanów etc.; 7) podkopywanie zaufania do rządu dla celów

wywrotowych; 8) zohydzanie demokracji przez wyolbrzymianie jej braków, aby w ten sposób „zmiękczyć” jej opór; 9) systematyczne rozpalanie instynktu nienawiści w masach, jako środek na ogłupianie ich; 10) podsycanie antagonizmów społecznych, grupowych, rasowych i religijnych celem złamania jedności narodowej; 11) zachęta do lekceważenia i ośmieszania propagandy nazistowskiej, aby uśpić czujność; 12) szerzenie podziwu dla Hitlera i hitleryzmu, jako niezawodnego środka na komunizm, Żydów, bezrobocie itd.; 13) agitacja na rzecz trzeciej partii (poza demokratami i republikanami — przyp. mój) oraz „new leadership” o faszystowskich tendencjach pozornie dla „obrony konstytucji”, posługująca się „ś r o d k a m i konstytucyjnymi”. Partia ta miałaby za zadanie ustanowienie nowego „prawdziwie amerykańskiego ładu” dla przyjaznej współpracy z Nowym Ładem Hitlera. Zestawienie jest bardzo ciekawe, jako wyczerpujący katalog tych właśnie prądów, czynników i haseł, które są najlepszymi sprzymierzeńcami Nazich. Z pewnymi zmianami odnosi się to do wszystkich innych krajów. Rząd Roosevelta zabrał się energicznie do tępienia tej „piątej kolumny”, co jest rzeczą niełatwą, jeśli chodzi o jej dalekie przerzuty, bezpośrednio nie zagrażające wysiłkowi wojennemu. Niebezpieczeństwo z ich strony leży na innej płaszczyźnie. Nie mogą one już zapobiec kompletnej klęsce Niemiec, ale mogą narobić dużo złego w sabotowaniu trwałego i sprawiedliwego pokoju.

* * *

Znakomity generał angielski lord Wavell, nowy wicekról Indyj, wypowiedział niedawno w jednym ze swych przemówień szereg trafnych myśli. Jest osobliwością angielską, że często generałowie występują tutaj jako najgorętsi szermierze demokracji i pokoju, dystansując niejednego polityka i pacyfistę. Takim filozofem demokracji jest również generał Smuts, premier Unii Południowo Afrykańskiej. „Dziwiło mnie zawsze — zauważył generał Wavell — że narodom nigdy nie brak pieniędzy na wojnę, a stale brak im na rzeczy bardzo pilne w czasie pokoju, jak oświata, walka z nędzą, bezrobociem, chorobami itd. Gdybyśmy na te cele wydawali pieniądze z tą samą gotowością i tak hojnie, jak na wojnę z Hitlerem, gdybyśmy p ł a c i l i w i ę c e j n a u c z y c i e l o m, a t r o c h ę m n i e j a d w o k a t o m, posunęlibyśmy się znacznie dalej na drodze postępu”. Mówił on również, że w okresie między dwiema wojnami najfatalniejsze były dwa slogany: „Safety first” i „business as usual”, wzywając do przejęcia się duchem pielgrzymów cywilizacji, do kształcenia charakterów i postawienia obowiązku ponad wygody i zyski osobiste, słowem do podniesienia walorów moralnych demokracyj.

Ostatnio spotykałem się często z moim przyjacielem, takim właśnie gorzej płatnym pedagogiem angielskim. Zaczęliśmy rozmowy od t.zw. re-edukacji Niemiec i współpracy międzynarodowej po tej wojnie w dziedzinie wychowania w związku z różnymi komitetami alianckimi, które już istnieją. Później przeszliśmy na tematy szersze. Mój rozmówca nie należy do żadnej partii, trzyma się z dala od polityki, a w każdym razie od lewicy intelektualnej typu „sophisticated”.

Uwagi jego dają pewien wyraz poglądów znacznego odłamu postępowego nauczycielstwa angielskiego i dlatego sądzę, że nie od rzeczy będzie poświęcić im więcej miejsca. Dopatruje się on w nacjonaliźmie (w ujemnym znaczeniu tego słowa) jednej z naj-

większych plag, określając go, jako aberrację idei narodowej. Zamiast dążenia do harmonii wewnętrznej danej grupy ludzkiej, jest on zawsze przeciw komuś zwrócony, prowadzi do ucisku i w końcu do agresji zewnętrznej. Zwalczać go należy nie tylko w jego ekscesach, lecz w egocentryzmie wychowania, wpajającego w młode pokolenia poczucie wyższości nad innymi narodami. Winniśmy kłaść większy nacisk na wszystko, co jest ogólnoludzkie, a nie odrębne w historii danego narodu, na podobieństwa, a nie na różnice. Inne pseudo-patriotyczne podejście do problemu wychowania, przyczynia się tylko do zaciemniania umysłów młodzieży, do rozbudzania w niej instynktów nienawiści lub pogardy, do ideologii szczepowej, która zawsze była największą zakałą moralnego postępu. Cywilizacja, jaką się szczycimy, jest owocem twórczości wielu narodów, tych które istnieją i tych, po których ślad dawno zaginął. Młodzież winna zawsze uświadamiać sobie, że na wszystkie jej dobrodziejstwa złożyła się praca ludzi mówiących różnymi językami i należących do różnych ras i narodów, że wielkie religie i odkrycia naukowe są dziełem wspólnego wysiłku, że Pan Bóg nie stworzył Anglików, Hiszpanów, Polaków, Francuzów, Żydów itd., lecz że stworzył człowieka i że braterstwo ludzkie stoi ponad wszystkim. To poczucie przynależności do całej ludzkości, do obywatelstwa świata nie tylko nie osłabi w młodzieży miłości do własnego kraju, lecz przeciwnie pogłębi ją, tak samo, jak przywiązanie do własnego narodu nie osłabia miłości dla rodziny. Rozwój ludzkości szedł drogą różniczkowania się na grupy narodowe i proces ten miał w różnych epokach wpływ dodatni na postęp cywilizacji, ale nie jest to ideał ani absolut. Z chwilą bowiem, gdy dana grupa narodowa zamiast przyczyniania się do postępu cywilizacji i dobra powszechnego, staje się siłą niszczycielską, jej odrębne istnienie nie ma żadnego moralnego uzasadnienia. Gdyby je miało, najbardziej barbarzyńskie ludy mogłyby rościć pretensje do wiecznego trwania. Bez radykalnego wytępienia tej bałwochwalczej filozofii nacjonalizmu nie może być mowy o prawdziwym pokoju.

W wielu krajach nacjonalizm, który zręcznie posługiwał się procedurą wolności demokratycznych, starał się zabić ich treść moralną. Demokracja nacjonalistyczna jest i musi być narzędziem reakcji, służącym interesom tych warstw, głównie drobnomieszczańskich, które najmocniej operują hasłami, działającymi na zakorzenione w masach przesądy, awersje, urazy w stosunku do innych narodów. Miłość dla kraju, wyrażająca się w gotowości do poświęceń dla jego dobra, to znaczy dla dobra rodaków, środowiska w którym się wyrosło, nie wymaga bynajmniej rozwijania w dzieciach „dumy narodowej". Duma jest w ogóle rzeczą złą. Pycha jest jednym z grzechów, których nie wybaczają bogowie. Twierdzenie, że „duma narodowa" rozwija poczucie godności, pewność siebie, wiarę we własne siły jest bardzo słabym jej uzasadnieniem. Cechy te można rozwijać w dzieciach w inny sposób, nie bałamucąc ich opowieściami o wyczynach wojennych przodków, a do tego sprowadza się głównie nauka historii. Trzeba zabijać w nich kult „wodzów", wpajając w młodzież, jeśli chodzi o koncentrowanie jej wyobraźni na jednostkach, szacunek dla tych postaci z przeszłości i teraźniejszości, które naprawdę przyczyniły się do postępu ludzkiego, do bojow-

ników o wolność, uczonych, filantropów, pisarzy, artystów wszystkich ras i narodów, zaczynając rzecz prosta od najbliższych im, t.j. najszlachetniejszych przedstawicieli własnego narodu. Mniej historii, więcej nauk przyrodniczych i dobrej literatury. Następnie, należy tępić w młodzieży kompleks władzy i autorytetów, rozwijając zmysł krytyczny. Wychowanie religijne, jeśli nie krępuje ono wolnej myśli w rzeczach świeckich, może być bardzo pożyteczne, jako odtrutka na nacjonalizm. Należy również uchronić młodzież od fetyszyzmu wielkich słów i haseł. Od całej tej patetycznej frazeologii, która zaciemnia umysł, wywołując zamęt pojęć, powierzchowność sądów i w rezultacie ogranicza horyzonty umysłowe.

Mój przyjaciel angielski jest wielkim zwolennikiem „basic English". Widzi on w tej próbie uproszczenia języka jeden ze środków przeciw tyranii, czy też magii słów. Nawiązując do tego opowiedział mi anegdotkę o pewnym gentlemanie, który twierdził, że wszystkie problemy rozpuszczają się w alkoholu. W wyniku tej filozofii umarł biedaczysko na delirium tremens. Są ludzie, którzy starają się rozpuścić trudne problemy w groźniejszym alkoholu haseł nacjonalistycznych i frazesów hurra-patriotycznych. Niestety, sami nie umierają, ale wysyłają na śmierć miliony innych i cały świat trzęsie się w delirium straszliwej wojny.

DOROTA FALSKA

JEDEN ŚWIAT

Wendell Willkie był konkurentem Prezydenta Roosevelta podczas ostatnich wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Pokonany w kampanii wyborczej, nie dał za wygraną. Propaguje nadal swój program polityczny z rozmachem charakterystycznym dla amerykańskich kampanii wyborczych. Mówi się znów o jego kandydaturze w wyborach prezydenckich w roku 1944. To też książka jego p.t. „One World" zasługuje na uwagę jako credo polityczne i społeczne. Willkie toczy w niej jak gdyby walkę przeciwko resztkom tradycji izolacjonistycznych stronnictwa Republikańskiego, głosząc hasła współpracy międzynarodowej i jak najszerszego zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w powojennym organizowaniu świata. Jako typowy Amerykanin nie głosi on swych haseł w formie abstrakcyjnej. Nawiązuje do konkretnego faktu, by wysnuć wnioski polityczne. Tym faktem stała się dla niego jego własna podróż dokoła świata, podróż, prześcigająca fantastyczne wizje Jules Verne'a. Nie w 80 lecz w 49 dni dokonał Willkie swej podróży. 160 godzin był „w powietrzu" i przeleciał 31.000 mil. Na pobyt „na ziemi" pozostało mu 30 dni, w ciągu których zwiedził 13 krajów, królestw, republik, republik sowieckich, terytoriów mandatowych, kolonii itp. Rozmawiał z głowami państw, z generałami i marszałkami, z przewódcami i ludźmi ulicy. Można oczywiście wątpić, czy pozycja z lotu ptaka nadaje się do studiów podróżniczych lub społecznych.

Większość spostrzeżeń, zawartych w książce Willkiego można równie dobrze robić w Waszyngtonie lub Londynie, lecz ten lot dokoła świata niewątpliwie unaocznił plastycznie podróżnikowi — jedność tego świata. „Najważniejszym wrażeniem mojej podróży było poczucie nie odległości lecz bliskości naszej do innych narodów". Przerzucanie się z jednego kraju do drugiego, z jednego kontynentu na drugi nie jest teraz większym przedsięwzięciem, niż najpospolitsza podróż handlowa amerykańskiego komiwojażera. Willkie przyrzekł prezydentowi pewnej republiki syberyjskiej, że złoży mu wizytę week-endową w roku 1945. „Mam nadzieję — powiada — że zjawię się punktualnie". Nie ma już na świecie miejscowości odległych. „Pod koniec zeszłej wojny ani jeden samolot nie przeleciał przez Atlantyk. Dziś ocean ten jest już tylko pasem wody, nad którym samoloty odbywają regularne loty według rozkładu jazdy".

Ta rewolucja w przestrzeni musi za sobą pociągnąć przewrót w polityce. Nakazuje ona rozważyć pod nowym kątem widzenia zagadnienie współzależności i współpracy narodów. Wywody autora na ten temat przeplatane są opisem ludzi, krajów, kontrastowych atmosfer politycznych, są niezmiernie żywe a miejscami nawet — pomimo pewnej amerykańskiej „naiwności" — porywające. „Jeden świat" nie jest oczywiście rozprawą akademicką. Książka obliczona jest na czytelników amerykańskich, wśród których osad izolacjonizmu jest jeszcze bardzo silny. Willkie przemawia do nich językiem prostym i lapidarnym, popularyzując sprawy dla przeciętnej publiczności amerykańskiej odległe. Czytelnik krytyczny spostrzeże oczywiście sporo uproszczeń i wulgaryzacji.

1.

Willkie rozpoczął swą podróż od El Alamein. Był na tym odcinku frontu, gdy całemu Egiptowi zagrażał pochód wojsk Rommla. Z Kairu udał się do Teheranu i Bagdadu. Oglądał Środkowy Wschód w momencie gorączkowym i krytycznym. Lecz mimo to uwaga Willkiego skupiła się głównie na sprawach gospodarczych i społecznych tego rejonu. Na całym Środkowym Wschodzie uderza go zacofanie techniczne, nędza, choroby i brud. Nieliczna warstwa bajecznie bogatych właścicieli ziemskich, których dobra przechodzą z ojca na syna, nie ma żadnej ambicji twórczej i żadnego zainteresowania dla losu społeczeństw wśród których żyje. Olbrzymia masa ludzka wegetuje bezmyślnie i apatycznie w ponurej nędzy. Willkiemu wydaje się, że sytuacja przedstawiałaby się lepiej, gdyby społeczeństwa Środkowego Wschodu posiadały swą „middle-class". „Middle class" oznacza w języku angielskim niekoniecznie warstwy średnie, chłopskie lub drobnomieszczańskie, lecz o wiele częściej warstwę burżuazyjną. W krajach kontynentu europejskiego rozwój warstwy burżuazyjnej szedł w parze z rozkwitem przemysłu, handlu i nauk. We Francji i w Anglii rozrost klasy burżuazyjnej był przyczyną rewolucji społecznych, niosących postęp. Lecz już na wschodzie Europy mieszczaństwo nie miało w sobie tego postępowego potencjału społecznego i politycznego. Tym bardziej trudno się spodziewać ery postępu mieszczańskiego w krajach Środkowego Wschodu. Co jednak w rozważaniach Willkiego jest ciekawe, to nie tyle jego diagnozy socjologiczne, ile jego zainteresowanie standartem życiowym narodów Środkowego Wschodu. Widzi on konieczność

podniesienia stopy życiowej w tych krajach. Obawia się, że jeżeli nikt nie podejmie tego zadania, to masy arabskie pójdą za krańcowymi przewódcami i zbuntują się przeciwko panowaniu Europejczyków i swych własnych warstw górnych. Podwyższenie poziomu życiowego w Egipcie, Iraku, Iranie, Syrii stworzyłoby rynki zbytu dla przemysłu innych krajów a zwłaszcza dla przemysłu amerykańskiego i zahamowałoby te „undercurrents" buntu, na ślady których natykał się wszędzie.

Willkie opisuje nastroje w Syrii na tle rywalizacji Anglików i Francuzów o wpływy. (Daje on przy okazji ciekawy portret gen. de Gaulle'a, którego odwiedził w Bejrucie. W pracowni generała — jak opowiada Willkie — w każdym kącie, na każdej ścianie i półce znajdowały się popiersia, statuetki i portrety Napoleona. Gen. de Gaulle bronił w rozmowie z Willkiem praw suwerennych Francji na terytorium Syrii. Argumenty przewódcy francuskiego nie bardzo trafiały do przekonania Willkiemu, który wywodził, że Syria jest tylko terytorium mandatowym, nie zaś posiadłością francuską. Willkie cytuje soczyste powiedzenia wyższych urzędników syryjskich pod adresem zarówno Francuzów jak i Brytyjczyków i z dużą sympatią odnosi się do niepodległościowców syryjskich).

W rozważaniach Willkiego na temat Środkowego Wschodu nie brak akcentów anty-brytyjskich. Inteligencja arabska straciła — jego zdaniem — wiarę w system mandatów i kolonii bez względu na to jakie państwo europejskie sprawuje władzę. Autor nie jest jednak zwolennikiem abdykacji Imperium Brytyjskiego. Uważa on, że zasada przekształcenia Imperium Brytyjskiego we wspólnotę samodzielnych narodów, wyznawana obecnie oficjalnie w Anglii, jest słuszna. Anglicy mają swoje zasługi w cywilizowaniu krajów azjatyckich. Tempo rozwoju gospodarczego i politycznego usamodzielniania się tych krajów jest jednak zbyt powolne. Willkie domaga się radykalnych przeobrażeń i całkowitego zerwania z nawykami imperialistycznymi. Uważa, że Ameryka winna oddziałać w tym kierunku na W. Brytanię. I to właśnie zainteresowanie sytuacją Środkowego Wschodu oraz tendencjami angielskiej polityki kolonialnej jest wielce charakterystyczne i nowe w książce Willkiego. Jest to moment nowy w nastrojach amerykańskich w ogóle a wynika on zdaje się z obecności wojsk amerykańskich oraz z działalności amerykańskich organizacji gospodarczych na Środkowym Wschodzie.

2.

Ze Środkowego Wschodu Willkie udaje się do Rosji. Rozdziały poświęcone Rosji są może mniej entuzjastyczne niżby się tego można było spodziewać po innych wystąpieniach publicznych autora. Willkie jest zaskoczony i uderzony rozmachem rosyjskim i potęgą państwa. Wrażenie tej potęgi było tak wielkie, że w najkrytyczniejszym momencie, bo w okresie bitwy o Stalingrad, Willkie miał przeświadczenie, że Sowiety zwyciężą. Nie wierzył on wersji o „kolosie na glinianych nogach". Nie znaczy to, by Willkie przyglądał się rzeczywistości sowieckiej bezkrytycznie. Jak przystało na osobistego wysłannika Prezydenta Roosevelta, zachowuje on w spostrzeżeniach swych umiar wielce dyplomatyczny. Mimo to uwagi krytyczne, wzmianki o okrucieństwie, niskiej stopie życiowej itd. pojawiają się bardzo często. Willkie między innymi wspomina polskich zesłańców politycznych w Jakucku, polską

„kelnerkę", która szeptem nakreśliła mu obraz Rosji różniący się bardzo od wersji oficjalnych. Omawia dość subtelnie różne znaczenia jakie ma w Rosji słowo „likwidować". Przewodniczący jakuckiej rady komisarzy ludowych błaga Willkiego, by odłożył ze względu na złe warunki atmosferyczne, podróż samolotem. Ja jestem odpowiedzialny za pańskie bezpieczeństwo — powiada mu — jeśli się coś stanie to ja będę zlikwidowany. Ten sam dygnitarz zwierza się, że otrzymał rozkaz zlikwidowania do reszty analfabetyzmu w swoim okręgu.

— A co będzie, jeżeli się to panu nie uda? — zapytuje Willkie.

— To ja będę zlikwidowany — odpowiada dygnitarz sowiecki bez najmniejszego poczucia niezwykłości tej nieco ponurej gry słów.

Zaznaczając dyskretnie cienie rzeczywistości sowieckiej, Willkie tym jaskrawiej wykazuje jej blaski. Fascynuje go żywotność narodu, rozmach budownictwa gospodarczego i bohaterstwo armii. Uderza go młody wiek generałów sowieckich, ich prostota i charakter. Dowódca 16-tu dywizji sowieckich na odcinku Rżewa zapytany jak wielki jest odcinek frontu, którego broni, odpowiada dumnie, urażony:

— Panie, ja nie bronię, ja atakuję!

Podziw Willkiego wzbudza trzeźwość i rzeczowość, z jaką dowódcy frontowi — a Willkie obserwował ich na froncie pod Rżewem — traktują swoje zadanie. Uderza go wytrzymałość fizyczna żołnierzy w okopach, gdzie obok mężczyzn walczą i kobiety, sztabów, pracujących w podziemiach i chłopów, którzy tuż za frontem ciągną nędznymi furmankami ku swoim spalonym sadybom. Po powrocie z frontu ogląda znów w Moskwie kobiety i dzieci, wygłodniałe i zmarznięte i znoszące do miasta drzewo na opał, zbierane w promieniu 50 mil od stolicy. Brak żywności, węgla, lekarstw, odzieży, a jednak nikt nie mówił o kapitulacji. „Wszyscy wiedzieli co się dzieje w krajach okupowanych przez hitlerowców. Lud rosyjski — nie tylko przewódcy — sam lud rosyjski, jestem o tym przekonany, wybrał zwycięstwo lub śmierć. Mówili tylko o zwycięstwie".

Willkie zwiedzał fabryki i kołchozy. Zapewnia czytelników, że rząd sowiecki pozwolił mu poruszać się swobodnie i oglądać wszystko co go interesowało. Można to zapewnienie traktować sceptycznie. Na te obiekty przemysłowie i rolne, które oglądał, Willkie jednak niewątpliwie patrzył okiem bystrym i doświadczonym. W ogromnej fabryce lotniczej pod Moskwą stwierdza, że praca odbywa się w sposób dość prymitywny, że personel fabryki jest zbyt liczny itd. Lecz mimo to fabryka produkuje bardzo dobre bombowce typu Stormowik. Wojenne dzieje fabryki są fragmentem ciekawego rozdziału ewakuacji przemysłu rosyjskiego podczas wojny. W zimie 1941-42 roku w fabryce nie było w ogóle opału. Robotnicy nie mieli mieszkań i wielu z nich sypiało przy maszynach. A jednak fabryka była w ruchu przez cały czas i wykonywała swój plan. Willkie uważa, że przyczyną tej wytrwałości i poświęceń ludu rosyjskiego jest fakt, że reżym mimo braku wolności i niskiej stopy życiowej dał jednak masom możliwości awansu społecznego. Przed dziećmi chłopów analfabetów otwarły się bramy szkół powszechnych, średnich i wyższych. (Willkie notuje fragment z rozmowy ze Stalinem na temat szkolnictwa sowieckiego. Gość amerykański wypowiada kilka komplementów na temat szkolnictwa i z nieco rubaszną poufałością ostrzega

potężnego dyktatora, że jeśli dalej będzie tak świetnie kształcił lud rosyjski to może utracić swą posadę — „you will educate yourself out of a job"). Ludzie, których spotyka i nastrój, który obserwuje, przypominają mu typy pionierów amerykańskich na preriach zachodu oraz atmosferę wewnętrznej ekspansji amerykańskiej sprzed lat kilkudziesięciu. Sam wielki elektryfikator południowych Stanów, Willkie jest pełen podziwu dla sowieckich robót i planów elektryfikacyjnych i zapowiada, że plany elektryfikacji Wołgi zaćmią rekordy osiągnięte w Tennessee Valley.

Z tych wszystkich spostrzeżeń Willkie wysnuwa morał polityczny, który stara się wpoić swym czytelnikom amerykańskim. „It works" — przedsiębiorstwo idzie — powtarza, zwracając się jakby do businessmana w Nowym Yorku i Chicago. W tonie, jakim Willkie mówi o Sowietach jest coś z podziwu wielkiego przemysłowca dla gigantycznej imprezy zarobkowej. Wielki przemysłowiec zastrzega się, że nie wszystkie metody, zastosowane w tej imprezie są do przyjęcia, lecz nie jest to wystarczający powód dla wyrzeczenia się współpracy z takim partnerem. Sympatyzuje wyraźnie z powstawaniem nowych warstw uprzywilejowanych w Rosji, choć razi go ideologiczne maskowanie tego faktu. Stara się wyraźnie zatrzeć wpływ długoletniej propagandy antysowieckiej, gdy tłumaczy pewnym sferom amerykańskim, że nie grożą im z tej strony żadne wstrząsy lub przewroty społeczne. („Rosja nas nie pożre ani nie uwiedzie"). W Moskwie Willkie dochodzi do tego samego wniosku, który sformułował w Kairze: możemy wiele zyskać na współpracy i porozumieniu, konflikty zaś byłyby kosztowne i bezpłodne.

3.

Z Rosji Willkie udaje się do Chin przez wschodni Turkiestan chiński, jedyną drogę, która po odcięciu Birmy łączy jeszcze Chiny ze światem zewnętrznym. Tu w Turkiestanie chińskim zauważa on ciekawe symptomy ścierania się wpływów chińskich z rosyjskimi. Wpływ sowiecki na sąsiednie kraje azjatyckie, szczególnie na ich kresy, jest o wiele większy aniżeli się powszechnie przypuszcza. Wobec tych krajów Rosja występuje jako państwo uprzemysłowione o bez porównania wyższej technice. W stolicy Turkiestanu chińskiego „wszystkie dobra konsumpcyjne które widzieliśmy pochodziły z Rosji; wszystkie samochody, którymi jechaliśmy były rosyjskie; armia, którą widzieliśmy, poruszała się w czołgach rosyjskich". Wpływ Czung-Kingu na tych kresach jest bardzo silny, lecz mimo to jest to orbita wpływów sowieckich. W samym Czung-Kingu Willkiego dochodzą echa rozdźwięków między rządem Cziang-Kai-Szeka a komunistami. Lecz to co go najbardziej interesuje, to przemiany gospodarcze w Chinach ostatnich lat. Odcięty od swoich wschodnich prowincji morskich i od Birmy rząd chiński musiał się podjąć forsownego uprzemysławiania Chin dla potrzeb wojennych. Powstała sieć kooperatyw przemysłowych. Podobnie jak w Rosji, choć na bez porównania mniejszą skalę, odbyła się tu ewakuacja zakładów przemysłowych z prowincji okupowanych do prowincji wolnych. Wszystko to odbywa się na tle niesłychanego prymitywizmu gospodarczego. Komunikacja jest nędzna, brak kolei, szos, samochodów. Transport z Rosji odbywa się w warunkach straszliwych. Karawany małych wózków ciągnionych przez muły, zdążają ku granicy sowieckiej, naładowane wełną, solą i herbatą. Jedna karawana tych wózków

rozciąga się na przestrzeni kilku mil. Przy każdym mule — kulis chiński. Podróż do granicy trwa dwa miesiące. Na granicy odbywa się wymiana ładunków: za wełnę i herbatę Chińczycy otrzymują naftę, części samolotów, motory i amunicję, które Sowiety wciąż jeszcze, mimo utrzymywania pokojowych stosunków z Japonią, wysyłają do Chin, jak twierdzi Willkie — przeważnie na kredyt. Przy czym zadłużenie Chin wobec Rosji osiągnęło już podobno fantastyczną sumę. Od tej drogi i tego kontaktu ze światem zewnętrznym zależy dziś zdolność Chin do kontynuowania walki, powiada Willkie, przypominając z wyrzutem swym rodakom, że w ciągu kilku lat przed Pearl Harbour pozwolili na wywóz 7 milionów ton najlepszego amerykańskiego złomu żelaznego do Japonii.

Mimo tego prymitywizmu gospodarczego wysiłek przemysłowy Chińczyków jest bardzo znaczny. Poza tym zaznacza się, pod wpływem wojny, ogólna modernizacja życia w zacofanych prowincjach. Około 100 milionów Chińczyków nauczyło się czytać i pisać. Dwa uniwersytety Czung-Kingu goszczą obecnie w swych murach sześć uniwersytetów wyewakuowanych z terenów okupowanych. Laboratoria i biblioteki tych uniwersytetów są czynne przez całą dobę, na kilka zmian. Dziesięć lat temu na terytorium podlegającym Czung-Kingowi wychodziło tylko 100 pism. Obecnie ukazuje się tysiąc gazet. Ruch umysłowy na uniwersytetach jest żywy. Willkie przemawiał do tysięcy studentów chińskich i zauważył, że najgorętsze oklaski odpowiadały mu wówczas, gdy wspominał słowo „Wolność".

I w Chinach obok wielkiego wysiłku i bohaterstwa Willkie widzi cienie. Demokracja chińska jest bardzo względna i kierowana. Marszałek Cziang-Kai-Szek cieszy się autorytetem i legendą, zrodzoną w dawnych jeszcze walkach niepodległościowych u boku Sun-Yan-Tsena. Lecz otoczenie marszałka odznacza się aż nazbyt typowymi cechami, charakteryzującymi otoczenie niejednego marszałka z legendą. W cieniu postaci Cziang-Kai-Szeka kwitną brygady jego legionistów. „Jego wierność towarzyszom swych wczesnych walk jest niezłomna i czasem, zdaje mi się, nierozumna... Ktokolwiek choć na krótko przebywa w Czung-Kingu nie może nie zauważyć, że młoda republika mimo swej młodości już rozwinęła pewnego rodzaju old school tie, który automatycznie zapewnia niektórym ludziom wysokie stanowiska. Głównymi posiadaczami tych old school ties są dawni towarzysze broni generalissimusa". Kierowana demokracja Kuomintangu irytuje cudzoziemców przebywających w Czung-Kingu i to nawet przyjaciół Chin. Urzędnicy starają się wobec Willkiego ukryć niedołęstwo administracji gospodarczej i szerzącą się inflację, stekiem górnolotnych frazesów, które nie usypiają jednak spostrzegawczości wybitnego cudzoziemca.

Mimo to wszystko Willkie wierzy w wielką przyszłość Chin. Jak na Środkowym Wschodzie tak i tu widzi konieczność przyspieszenia rozwoju gospodarczego oraz zrezygnowania państw europejskich ze sprawowania dobrotliwej kurateli. Apeluje znów do amerykańskiego zmysłu dla interesu, dowodząc że Chiny mogą być najlepszym sprzymierzeńcem Stanów Zjednoczonych w Azji. Domaga się wobec tego przyspieszenia i zwiększenia pomocy amerykańskiej dla Chin oraz ścisłej współpracy po wojnie. Świat jest jeden.

4.

W końcowych rozdziałach książki Willkie podsumowuje swe spostrzeżenia i wnioski. Wojna wywołała we wszystkich krajach, które zwiedził, ogromne nadzieje. Masy narodów wojujących wierzą w to, że straszliwym zmaganiom przyświeca tym razem jakaś idea. Willkie obawia się, by nadzieje te nie zostały zawiedzione i by epilog tej wojny nie okazał się równie jałowy, bezideowy i chaotyczny jak epilog wojny 1914-18 roku. Dlatego właśnie wolne słowo i czujna krytyka mają do spełnienia wielką rolę w trakcie tej wojny. „Jest najwyższym szaleństwem — niemal samobójstwem — godzenie się z tym, że obywatele jakiegokolwiek kraju powinni milczeć z obawy, by nie przysporzyć kłopotów chwilowej, a czasem bardzo krętej polityce swoich przewódców". Za szczególnie groźne uważa Willkie pretensje fachowców wojskowych do nieomylności i do nietykalności wobec krytyki. Cały przebieg tej wojny — powiada były i być może przyszły kandydat na Prezydenta Stanów Zjednoczonych — podkopał zaufanie do dowódców. „Fachowcy wojskowi i podobnie jak i nasi przewódcy muszą być stale wystawieni na działanie największej siły popędowej demokracji — na bicz opinii publicznej, formującej się w uczciwej i wolnej dyskusji". Willkie wywodzi, że nawet w państwach totalitarnych nacisk opinii publicznej istnieje i działa, chociaż w formie zamaskowanej i w skali ograniczonej.

Tego bicza krytyki nie żałuje Willkie nikomu ze sprzymierzonych ani też swemu własnemu krajowi. Głównym obiektem jego krytyki jest jednak ideał suwerenności narodowej. Atakuje on bardzo ostro Kartę Atlantycką, Cztery Wolności Roosevelta, oświadczenia Churchilla i Stalina, zarzucając im wszystkim „staroświecki szacunek" dla pojęć suwerenności państwowej. Formuła samego Willkiego brzmi: „Odtworzenie małych państw europejskich jako jednostek politycznych? — t a k. Odtworzenie ich jako jednostek gospodarczych i militarnych? — n i e". Mimo zastrzeżeń swych Willkie uważa jednak Kartę Atlantycką za dokument postępu ludzkiego. Jak wielu innych krytyków amerykańskich zarzuca on jednak polityce brytyjskiej pewną niekonsekwencję. Wolność narodów, proklamowana w Karcie Atlantyckiej nie może ograniczyć się do narodów Europy. Zasada ta winna również przeniknąć w brytyjską politykę kolonialną — powiada Willkie. Zaś „fakt, że Stalin nie ogłosił jeszcze zaniepokojonemu światu, jakie są konkretne aspiracje Rosji wobec Europy wschodniej, również ciężko waży na szali przeciwko zasadom proklamowanym przez przewódców". Od krytyki suwerenności narodowej przechodzi autor do krytyki imperializmu i rasizmu. Wojna obnażyła cały nonsens rasizmu. Hitler mianował Japończyków „honorowymi Aryjczykami", bo potrzebny mu był sprzymierzeniec na Dalekim Wschodzie. Najważniejszym sprzymierzeńcem Stanów Zjednoczonych w Azji, to naród żółtej rasy — naród chiński. W tym miejscu Willkie dotyka ropiejącej rany wewnętrznego życia Stanów Zjednoczonych. „Lecz my sami praktykujemy u siebie w kraju coś co równa się imperializmowi rasowemu. Postawa białych obywateli naszego kraju ma w sobie niezaprzeczenie pewne nieponętne cechy obcego imperializmu". Im wyraźniej — powiada Willkie — formułuje się cele wojny, tym jaskrawiej uwydatnia się niesprawiedliwość wobec murzynów.

Willkie analizuje przy sposobności tło psychologiczne wszelkich konfliktów mniejszościowych. W nastroju wojennym odżywają emocjonalne stany podejrzliwości wobec „obcych". Reaktywują się atawistyczne podejrzliwości. W dodatku w szeregach tak zwanych większości rozwija się histeryczny stosunek do wszystkiego co nie jest stworzone na idealny obraz i podobieństwo tej większości. Wszelki objaw „nieortodoksyjności" kojarzy się z intrygą nieprzyjacielską. W jednej z wojen amerykańskich aresztowano młodego człowieka i oskarżono go o szpiegostwo na tej podstawie, że „nosił przy sobie długi bat a na spodniach jego dostrzeżono niezwykłą ilość guzików". Poszukiwanie kozła ofiarnego za nieszczęścia wojenne jest starą i znaną cechą psychiki wojennej, a gdzież łatwiej znaleźć takiego kozła ofiarnego, jeśli nie w szeregach mniejszości. Stany Zjednoczone mają jednak najlepsze warunki dla przezwyciężenia tych prymitywnych urazów psychologii masowej. Społeczeństwo amerykańskie powstało z asymilacji najbardziej odrębnych środowisk, rasowych, narodowych i religijnych. Na tle historii Stanów Zjednoczonych galwanizowanie konfliktów mniejszościowych wygląda na kpinę z tradycji amerykańskiej. Ten ciekawy rozdział swej książki, zatytułowany „Our imperialisms at home" Willkie zamyka pewnego rodzaju apoteozą mniejszości i opozycji ideowych, których samo istnienie jest bodźcem rozwoju i twórczości całego społeczeństwa. „Silniej niż kiedykolwiek musimy sobie teraz wyryć w pamięci zasadę, że kiedykolwiek pozbawiamy wolności tych, których nienawidzimy, torujemy drogę do pozbawienia wolności tych, których miłujemy".

W ostatnim rozdziale swej książki wreszcie Willkie raz jeszcze powraca do krytyki swego własnego kraju, wymieniając bez zbytniej troski o narodowy prestiż lub narodową miłość własną swych czytelników, długi szereg grzechów, popełnionych, jego zdaniem, przez Stany Zjednoczone.

> „Zamknęliśmy się przed handlem światowym nadmiernymi taryfami celnymi. Umyliśmy ręce od spraw kontynentu europejskiego, i gdy Niemcy uzbrajali się na nowo, nie przejawialiśmy zainteresowania jego losem. Storpedowaliśmy Londyńską Konferencję Gospodarczą, gdy demokracje europejskie... zaczynały dopiero co wracać do sił po depresji gospodarczej, która podcięła ich żywotność... Postępując w ten sposób zaprzepaściliśmy wspaniałą okazję odegrania roli kierowniczej we wzmacnianiu i odradzaniu narodów demokratycznych..."

Z błędów tych Willkie wysnuwa wniosek, że przyszła organizacja świata wymaga internacjonalizmu nie tylko politycznego lecz również gospodarczego.

Program Willkiego przedstawia się niewątpliwie bardzo radykalnie. Złośliwi krytycy zapatrują się na ten radykalizm nieco sceptycznie, traktując go jako próbę propagandy przedwyborczej. Pozostaje jednak faktem, że niedawno temu te radykalne tony potraktowane byłyby ze zgorszeniem w Stanach Zjednoczonych, jako przejaw „ideologii nie-amerykańskiej". Dziś stają się one w wielu sferach nieomal że wymogiem amerykańskiego bon-tonu.

DOMINIK SZCZERBIC

CZYTELNICTWO W ANGLII

PRASA

Dwie są podstawowe potrzeby ludzkie: pożywienie i dach nad głową. Człowiek cywilizowany ma jeszcze jedną, zasadniczą potrzebę. Informację. Musi wiedzieć o rzeczach codziennie zmiennych a koniecznych do życia. Musi znać biuletyny meteorologiczne i biuletyny wojenne, cenę chleba, mięsa, cukru i cenę tego czy innego polityka. Musi znać zmiany w rozkładach jazdy i zmiany w konstelacji politycznej. Pragnie znać programy kinowe i wyniki meczów i powinien wiedzieć kto, kiedy i za co został rozstrzelany. Jest jeszcze cały szereg innych spraw które człowiekowi współczesnemu są niezbędnie potrzebne i o których powinien być jak najszybciej i jak najdokładniej poinformowany ale trzeba by książki aby je wyliczyć. Ten głód informacji zaspakajają gazety. Ale informacja nie jest jedyną funkcją gazety. Gazeta jest główną i najpowszechniejszą rozrywką współczesnego człowieka. Astronomiczne cyfry nakładów, tysiące ton papieru zużywane codziennie, dziesiątki tysięcy ludzi zatrudnionych w samym Londynie, miliony notatek, komunikatów, wiadomości nagłych, ważnych, nie cierpiących zwłoki — cechują ten potężny przemysł jakim jest prasa.

Prasa wywiera przemożny wpływ na ludzi, ale charakter i wymagania czytelników urabiają zasadnicze cechy prasy. Prasa żyje i ginie zależnie od ilości czytelników, więc przy istniejącej konkurencji jest zmuszona szukać swej treści w upodobaniach i życzeniach publiczności. Są w Anglii pisma które utrzymują się na powierzchni bez ustępowania gustom i wymaganiom czytelników, są inne które w mniejszym lub większym stopniu zachowały poziom do którego starają się podciągnąć swych czytelników, są wreszcie takie — bardzo nieliczne co prawda — które dla nakładu poświęciły bardzo wiele, z zasadami, godnością i poziomem włącznie. Zanim więc przystąpimy do opisu prasy angielskiej warto zapoznać się z angielskim czytelnikiem.

„W 1937 r. wychodziło w Anglii 1.577 gazet i 3.119 magazynów i czasopism a w r. 1934 na każdych 100 rodzin w Wielkiej Brytanii kupowano 95 gazet porannych, 57½ gazet wieczornych i 130 gazet niedzielnych." („Propaganda" by Richard S. Lambert, Thomas Nelsons Ltd.) Cyfry te niewątpliwie wzrosły od tego czasu. Praktycznie rzecz biorąc można powiedzieć, że każdy dorosły i normalny człowiek w Anglii czyta co najmniej jedną gazetę dziennie. Cyfry, których nie osiągnęło żadne inne państwo na świecie mówią same za siebie. Przedwojenny nakład dziennych pism londyńskich był następujący: (według „The Newspaper" by Ivor Thomas, Oxford University Press, 1943)

Times	210.000
Daily Telegraph	835.000
Daily Mail	1.525.000
Daily Express	2.543.000
Daily Herald	2.000.000

News Chronicle	1.350.000
Daily Mirror	1.685.000
Daily Sketch	750.000
Daily Worker	70.000

(Wielu Polaków do dziś dnia nie zdaje sobie sprawy z tego co te cyfry oznaczają. Przerastają one wyobraźnię niejednego polskiego polityka i wywołują owo niezrozumiałe lekceważenie znaczenia i zasięgu prasy angielskiej, co mściło się niejednokrotnie na naszych poczynaniach politycznych.)

Masowa konsumpcja gazet miała jako wtórny skutek utworzenie olbrzymich kolosów prasowych, które jedyne mogły sprostać popytowi. Wydawałoby się, że gazety o takich nakładach mogą sobie pozwolić na niezależną politykę i na wychowywanie sobie czytelników. Jednak gazeta sama przez się nie jest opłacalna. Opłacalność przynosi dopiero reklama, a za reklamą wlecze się cały szereg spraw które krępują niezawisłość prasy.

Czytelnika angielskiego można — w najszerszym uogólnieniu — podzielić na dwie grupy. Czytelnika wykształconego i czytelnika niewykształconego. Człowiek wykształcony, to w Anglii zawsze „a Public School man", bo nawet jeśli swego wykształcenia nie nabył w internacie — w t.zw. Public School — to marzeniem i wzorem dla niego samego i dla jego dzieci będą zawsze „Public School manners" i „Public School tie". Szkoły te które wydawały dotychczas wszystkich niemal angielskich mężów stanu i całą klasę rządzącą, wytworzyły typ człowieka który zwraca swą odmiennością uwagę nie tylko gdy jest za granicą, ale nawet w samej Anglii. Cechuje go bardzo dobitnie zaakcentowana świadomość przynależności klasowej.

Ludzie którzy nie ukończyli „Public School", ale którzy osiągnęli pewne stanowisko i znaczenie w życiu zawodowym czy publicznym, naśladują ten wzór i starają podciągnąć się do standartu „Public School man'a". Tu jest źródło snobizmu jakże trafnie scharakteryzowane przez „Snobizm i Postęp" Żeromskiego.

Drugi typ czytelnika oparł się o inną angielską instytucję: o Trade Uniony. Ludność Anglii jest w swej olbrzymiej większości „wage earning" tj. utrzymuje się z pracy najemnej. Stworzyło to olbrzymi rozrost rozmaitych związków zawodowych które nie zawsze mają — jak na kontynencie podłoże socjalistyczne. Nie dążą one do obalenia systemu kapitalistycznego z którego czerpią swe zyski, starają się tylko wywalczyć lepsze warunki pracy i płacy. Stąd ta typowa angielska bierność, stąd brak szerszych ambicji i rzadkość karierowiczowstwa tak charakterystyczna np. u angielskich robotników. Ten typ czytelnika szuka w gazecie rozrywki. Sprawy polityczne go nudzą — woli aferę kryminalną; od spraw gospodarczych — woli rubrykę sportową; od spraw społecznych — krzyżówkę. (Mówię rzecz jasna o stanie przedwojennym. Wojna wywołała w tych sprawach przewrót który już gra, ale którego zasięgu długo jeszcze nie potrafimy ocenić.)

Oba rodzaje czytelnika wywarły swe piętno na prasie angielskiej. Nie stworzyły dwu odrębnych typów gazet, ale nadały całej prasie — poważnej i popularnej — ton i charakter. Jeśli porównamy poważny Times i popularny Daily Mirror, w obu znajdziemy analogiczne nastawienie wobec pewnych spraw i podobną re-

akcję. Tu i tam znajdziemy snobizm ogłoszeń dworskich czy rubryki towarzyskiej, tu i tam niezwykła — na kontynentalne pojęcia — ilość miejsca będzie poświęcona sportowi, aferom kryminalnym czy rozwodowym.

Jeszcze jedna sprawa pozaredakcyjna wywiera swój wpływ na prasę. Jest nią „the Law of Libel". Jest to ustawa angielska, a raczej jak większość angielskich ustaw jest to zbiór orzeczeń prawnych niezawsze bardzo jasnych, które mają regulować wykroczenia prasowe przeciw osobom prywatnym. „The Libel" — paszkwil według Stanisłaskiego, ale także oszczerstwo i potwarz — jest przestępstwem które może spowodować w Anglii bardzo dotkliwe ukaranie krzywdziciela i dlatego gazety angielskie nakładają sobie dość krępujące hamulce. Za zniewagę prasową odpowiada nie tylko autor ale także, redaktor, drukarz, wydawca, słowem każdy który miał cośkolwiek wspólnego z rozpowszechnieniem numeru. „Law of Libel" jest doskonałą obroną przeciw szantażowi prasowemu tak rozpanoszonemu na kontynencie i w Stanach Zjednoczonych. Zmusza ono prasę do dużej czujności i ostrożności w ferowaniu wyroków i daje słowu drukowanemu wagę i odpowiedzialność. Z drugiej jednak strony niesłychanie krępuje wolność prasy. Nikt np. nie odważy się w prasie napiętnować nieudolnego czy niegodnego urzędnika czy polityka i przez to nie może prasa odgrywać roli strażnika moralności publicznej. Praktyka „Law of Libel" doprowadza nieraz do groteski. W 1908 r. „Sunday Chronicle" — którego właścicielem był wówczas Sir Edward Hulton — zamieściła w rubryce „plotek" następującą notatkę swego paryskiego korenspondenta o gościach angielskich we francuskich letniskach. „A oto Artemus Jones z kobietą, która nie jest jego żoną i która pewno jest jak się domyślasz czymś zupełnie innym, — szepnęła moja blond sąsiadka do ucha swej przyjaciółce. Niektórzy nasi rodacy dziwnie się zachowują gdy wyjeżdżają za granicę. Któżby pomyślał, patrząc na jego zachowanie, że jest „churchwarden'em" w Peckham". Traf chciał, że naprawdę żył człowiek noszący owo dziwaczne imię które autor notatki wymyślił w przekonaniu, że jest najzupełniej egzotyczne i nieangielskie. Ten Mr. (późniejszy Sir) Thomas Artemus Jones K.C., mimo iż nie był „churchwarden'em" w Peckham wytoczył pismu proces i sąd przyznał mu odszkodowanie 1.750 funtów. W 1934 r. Sir Oswald Mosley („wódz" angielskich faszystów) zaskarżył „Star" i uzyskał 5.000 funtów odszkodowania za notatkę ubliżającą jego czci. Te i inne podobne sprawy mają wpływ na charakter prasy i nadają jej ten specyficzny wyraz, który odróżnia na pierwszy rzut oka angielską gazetę od gazet innych krajów. Trudno cudzoziemcowi ocenić w pełni tę ustawę. Trudno rozważyć jej pro i contra. Jest ona znamienna dla angielskiej mentalności — mimo iż sami Anglicy najbardziej na nią pomstują — i nie razi na tle tej Anglii, którą w codziennym życiu obserwujemy.

* * *

Dzisiejsze dzienniki londyńskie choć chętnie nadają sobie ton i powagę — nouveau riche'e, wiadomo! — są na ogół młodsze wiekiem od wielu pism prowincjonalnych. „The Times" ma wprawdzie ponad sto lat, ale „Daily Telegraph" i „News Chronicle" mają już tylko ponad 50. Wprawdzie „The Morning Advertiser" został założony w 1794 r., a „The Public Ledger" w 1760 r., ale oba

są pismami branżowymi i trudno je podciągnąć do wspólnego mianownika z innymi pismami londyńskimi. Natomiast cały szereg prowincjonalnych pism codziennych i periodycznych ma starszą tradycję niż kolosy londyńskie. Najstarsze gazety — z istniejących po dziś dzień — to „Berrow's Worcester Journal" — tygodnik założony w 1709 r., „Nottingham Journal" założony w 1710 roku oraz „Stamford & Ruthland Mercury" założony w 1712 r. Z niedzielnych pism „Observer" został założony w 1791 r. a „Sunday Times" (którego nie należy łączyć z „Times'em") w 1822 r. Z tygodników „Spectator" założony w 1828 wydał z końcem czerwca br. swój 6000-czny numer, a „Punch" został założony w 1841 r. (Historyczne dane według „The Daily Press" by Wilson Harris, Cambridge University Press, 1943.)

Najpoważniejsze dziś pismo angielskie „The Times" założone zostało w 1785 r. pod nazwą „The Daily Universal Register" i od przeszło stu lat utrzymuje swą hegemonię w dziennikarstwie angielskim. Założone przez John'a Waltera pozostaje do dziś dnia w rękach jego rodziny. Wpływ Times'a zawsze wielki, osiągnął swój szczytowy punkt w połowie 19 wieku. W 1834 r. Lord Chancellor Lyndhurst mógł się wyrazić o redaktorze „Times'a": „Barnes is the most powerful man in the Country", a Abraham Lincoln powiedział o „Times'ie", że „jest jedną z największych potęg świata. Trudno mi znaleźć cokolwiek potężniejszego — chyba tylko Mississipi". Nawiasem mówiąc „Times" nie odwdzięczył się Lincolnowi pisząc o nim w 1862 r.: „Is the name of Lincoln ultimately to be classed in a catalogue of monsters, wholesale assassins and butchers of their kind?" (Dziwnymi drogami chodzi zmienność ludzka!) Z historii innych pism warto przypomnieć, że „News Chronicle" została założona i redagowana (przez 3 tygodnie) przez Karola Dickensa w 1846 r., że „Daily Telegraph" wsławił się wysłaniem w 1875 r. (wspólnie z New York Herald'em) H. M. Stanley'a na poszukiwanie Livingstone'a, że „Daily Mail" założony przez Alfreda Harmsworth'a był pierwszym pismem angielskim które świadomie zagrało na „popularność" i które ten nowy styl narzuciło całej niemal prasie świata. Inne pisma są przeważnie tak młode, że nie można mówić o ich historii. „Daily Herald" — wychodzący początkowo jako tygodnik — stał się dziennikiem dopiero w 1919 r., „Daily Mirror" został założony w 1903 r., „Daily Sketch" w 1909 r. a „Daily Worker" w 1930 r. Historia gazet angielskich byłaby niekompletna gdyby nie wymienić nieistniejącej już dzisiaj „Morning Post" (1772-1937), która miała także swój okres wpływów i która byłaby najstarszym dziś pismem londyńskim gdyby nie została przejęta w 1937 przez „Daily Telegraph". Warto przypomnieć, że „Morning Post" wysłała swego własnego korespondenta wojennego do Afryki Połudn. w czasie wojny burskiej. Był nim niejaki Winston Churchill, który dostał się wówczas do niewoli, ale który wsławił się później także innymi czynami.

Prasa brytyjska należy bez wyjątku do prywatnych właścicieli lub przedsiębiorstw. Nie ma tu zwyczaju, który kwitnął w niektórych przedwojennych państwach europejskich, gazety rządowej wydawanej za pieniądze rządowe. Tylko raz w historii Anglii rząd wydawał własną gazetę. Było to w czasie strajku generalnego w 1926 roku. Wydawcą pisma był ówczesny kanclerz skarbu Winston Churchill. Ten wyjątek potwierdza jednak tylko regułę. „Times" należał do rodziny Walterów aż do 1922 r.,

obecnie większość akcji posiada major J. J. Astor. „News Chronicle" i „Star" należą do rodziny Cadbury. „Observer" jest własnością Lorda Astor, brata właściciela „Times'a". Lord Beaverbrook jest właścicielem „Daily Express'u", „Sunday Express'u" i „Evening Standard'u". „Daily Herald" należy w 49% do T.U.C. a w 51% do Odham Press Ltd. „Reynolds News" należy do Związku Organizacji Spółdzielczych. Lord Camrose, jest właścicielem „Daily Telegraph" i „Financial Times" a jego brat Lord Kemsley kontroluje „Daily Sketch", „Sunday Times", „Sunday Chronicle", „Sunday Graphic", „Empire News" i cały szereg pism prowincjonalnych.

Wpływ rządu na prasę jest objawem niezdrowym, ale czy wpływ jednostki nie może być równie złowieszczy? Leży to niewątpliwie w granicach możliwości a niebezpieczeństwo jest tym groźniejsze im zasięg pisma jest poważniejszy. W. Harris w swej książce „The Daily Press" kruszy kopie w obronie dziewiczej niewinności magnatów prasowych. Dla niektórych pisarzy lewicowych są oni wcieleniem zła. Wydaje się, że jak zwykle prawda leży po środku. Ani tak dobrze, ani tak źle. A więc przede wszystkim można stwierdzić, że właściciele wykorzystują swe przywileje dość nagminnie i narzucają pismom swe poglądy, wpływają na ich politykę, tendencje itp. Świadczą o tym częste zmiany na stanowiskach redaktorów wywoływane konfliktem sprzecznych poglądów redaktora i właściciela. Znane są inne wypadki w których właściciel wywierał presję na swe pismo dla celów politycznych. Jednak równocześnie należy stwierdzić, że te wpływy będąc wynikiem słabości czy ambicji, nieraz szkodliwych ale bardzo zrozumiałych (i dlatego wybaczalnych) nie przekraczały nigdy granicy uczciwości. Ani historia, ani uważna obserwacja rzeczywistości nie wykazują, aby ktoś w Anglii nadużywał w sposób niegodny przywileju posiadania akcji pisma. Znane są natomiast wypadki prawdziwie obywatelskiej i altruistycznej powściągliwości, aby zacytować bodaj sprawę „Times'a" którego właściciele dobrowolnie ograniczyli swe prawa własności aby zapewnić pismu niezależność.

Tylko bardzo rzadko właściciel pisma jest równocześnie jego redaktorem. Najbardziej znanym wypadkiem był C.P. Scott właściciel i redaktor „Manchester Guardian", jedna z największych postaci dziennikarstwa angielskiego.

* * *

Gazeta angielska jest odmienna od gazet wszystkich innych krajów, ale ocena tej różnicy wymaga wielkiego znawstwa przedmiotu i przynajmniej monografii a obie te właściwości przekraczają możliwości niniejszego artykułu. Nie chodzi nam jednak tyle o prasę angielską wiele o jej czytelnika. Chodzi o Anglików i ich reakcję na codzienne sprawy życia. Na pożywienie, mieszkanie, pracę i rozrywkę. Prasa jest jedną z głównych rozrywek ludzkich, a zatem inność prasy angielskiej interesuje nas tylko o tyle o ile odzwierciedla odmienne zainteresowania Anglików. Anglik jest poważny w swoich rozrywkach, czy nimi są sporty, „hobby", czy czytanie. Odbija się to rzecz jasna na gazecie. Nawet ów tak pogardzany przez cudzoziemców „Daily Mirror" który wyglądem graficznym przypomina kontynentalne brukowce i który jak one przeznaczony jest dla najszerszej i najmniej inteligentnej warstwy czytelniczej, wykazuje zainteresowania któ-

re przerastają wagę jaką cudzoziemcy przypisują tego rodzaju pismom. Poziom i powaga argumentacji, złożona subtelność „cartoon'ów" czy satyry, powaga z jaką podejmuje tak trudne sprawy jak kampania przeciw chorobom wenerycznym. Umiar z jakim do tej drażliwej i nadającej się do taniej sensacji sprawy podszedł mówi tomy nie tylko o gazecie, ale i o jej czytelniku. O najbardziej szarym człowieku angielskiej ulicy.

Artykuły wstępne gazet codziennych i artykuły zasadnicze prasy periodycznej cechuje ta sama powaga podejścia i zainteresowań. Mają one jednak jeszcze jedną cechę. Olbrzymią oszczędność słów. Precyzję doprowadzoną do doskonałości. Pewien „znawca" — Polak — który w Anglii jest już całych sześć miesięcy, tłumaczył mi raz obszernie i zawile że jest to zasługą języka. „Leży w charakterze angielszczyzny" jak mnie gadatliwie przekonywał. Mylił się w zapale swego gadulstwa. Jest to wynikiem precyzji myśli i specjalnego wyszkolenia. Anglików kształci się od dziecka w precyzji zdania i oszczędności słów. Jakże pouczający jest pod tym względem „Question Time" Izby Gmin. Owe pytania tak zwięzłe a zarazem pełne treści a nawet elokwencji. (Polecam zainteresowanym lekturę Hansard'a!) Ten styl Izby Gmin jest znamienny dla wszelkich debat czy dyskusji. Spotkać go można na meetingach politycznych, na mównicach w Hyde Parku i w debatach wychowanków Harrow czy Eton. Polakom, rozkochanym w barokowości stylu i w płynnej lekkości wymowy, wydają się te artykuły — a nawet felietony — pełne po brzegi skondensowanej treści, ciężkie i nieczytelne. Anglik się nimi rozkoszuje, tak jak rozkoszuje się dowcipem który nam wydaje się łamigłówką językową. Ta oszczędność słów nie jest tylko właściwością prasy politycznej i tzw. „poważnej". Nawet „magazyny" o charakterze czysto rozrywkowym zawierają artykuły, nowelki i felietony tak zwięzłe, że nie wiemy co bardziej podziwiać — umiar autorów czy bezwzględny kunszt „sub-editora".

Inną cechą charakterystyczną, zarówno prasy angielskiej jak i jej czytelnika, są „Letters to the Editor". Są to listy, które gazety otrzymują od swych czytelników i których bezstronny wybór regularnie drukują. Listy te stanowią w wielu pismach bardzo poważny dział „bezpłatnych artykułów". Z dzienników, np. „Times", „Daily Telegraph", „Manchester Guardian"; a z tygodników „Spectator", „New Statesman & Nation" i „Tribune" otrzymują listy których poziom jest nieraz bardzo wysoki, które są uważnie czytywane i które mają bardzo poważny wpływ. Cudzoziemcy niezawsze doceniają ich znaczenie. Pisma kontynentalne drukowały listy dla autoreklamy, dla propagandy lub jeśli chodziło o podkreślenie ważności jakiejś polityki czy innej nieczystej sprawy w której dane pismo było zainteresowane. Inaczej w Anglii. Tu każda sprawa aktualna bez względu na jej wagę gatunkową, znajduje wyraz w stosach listów do redakcji, a gazety wykorzystują je w sposób stosunkowo obiektywny. Nie wiem czy istnieje jakaś monografia historyczna o „Letters to the Editor". Jest to temat — a raczej kopalnia tematów — który prosi się o inteligentne i dowcipne opracowanie. Taka monografia będzie niesłychanie ciekawym przyczynkiem do obrazu angielskiej rzeczywistości.

* * *

Jak prasa angielska zareagowała na wojnę? Przede wszystkim objętością. Pękate pisma codzienne bardzo drastycznie zmniejszyły swoją objętość do 4 stron normalnego formatu. Skasowano wiele — choć nie za wiele — ogłoszeń. „Daily Telegraph" i niektóre poważne pisma niedzielne przeszły z depeszami na stronę pierwszą, która przed wojną była stroną ogłoszeniową. Ale zmiany nie były tylko formalne. Reportaże wojenne stały się główną cechą (feature) angielskiej gazety. Reportaże które osiągnęły poziom niesłychanie wysoki: literacko i fachowo. Nazwiska reporterów którzy się wybili pozostaną na stałe własnością literatury. „Genre" ten nie jest zresztą od dzisiaj specjalnością angielskiego dziennikarstwa, współcześni korespondenci wojenni dodali tylko splendoru tradycji.

Zmiany wojenne nie ograniczyły się jednak tylko do takich zewnętrznych objawów jak zmniejszenie objętości czy zainteresowanie sprawami wojny. Prasa angielska czasów wojny, zarejestrowała także bardzo wyraźnie zainteresowania społeczno-polityczne nurtujące Anglię. Pobieżna nawet analiza prasy pokazuje nieproporcjonalnie wielką ilość tematów społecznych, rozważań o jutrze gospodarki społecznej i politycznej świata, nie mówiąc wcale o niesłychanym oddźwięku tych wszystkich spraw aktualnych które mają podłoże myśli o jutrze demokracji jak np. raport Beveridge'a, odbudowa Anglii, lotnictwo cywilne, konferencja w Hot Springs itd. Czytelnik polski nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, że tematy te są narzucone prasie zainteresowaniem czytelników a nie vice versa. U nas, byle kto robił własną politykę (przeważnie zresztą negatywną: antyczeską, antyżydowską, antymasońską) zależnie od własnych zapatrywań, interesu czy widzimisię. To czyni nas podejrzliwymi na intencje prasy. Temu „co stojało" w gazecie wierzył w Polsce tylko prostaczek, ludzie światowi wiedzieli wszystko lepiej. Obniżało to wartość prasy, ale obniżało także w dalszej konsekwencji jej treść do poziomu mało ważnej plotki czy intrygi. Jeśli przysłuchujemy się rozmowom Anglików, i jeśli przebrniemy szczęśliwie przez tradycyjną uwerturę o „lovely weather", łatwo stwierdzimy, że wszędzie — we fabryce, w biurze, na ulicy, w pubie i w drawing roomie na pierwszym miejscu zainteresowań Anglika są sprawy poważne. Te same sprawy które tak wiele miejsca zajmują w gazetach. Tego nie było przed wojną. Rubryki kroniki towarzyskiej czy sportowej były wówczas najbardziej czytane i najobszerniejsze. Wyciąganie z tego objawu jakichkolwiek wniosków jest rzeczą ryzykowną. Może on być wynikiem zarówno uspołecznienia się Anglików jak i brytyjskiego oportunizmu. Jednak należy go zanotować — dla ścisłości kronikarskiej — jako objaw wojenny.

Wreszcie drażliwa kwestia ograniczeń wolności prasy. Przed wojną nie było żadnych ograniczeń. Jeśli ktoś nie bał się zaryzykować konfliktu z „Law of Libel", mógł pisać co mu się żywnie podobało. Wojna teoretycznie nie przyniosła zmian. Wolność prasy nadal istnieje jednak pisma angielskie poddają się w praktyce, na ogół dość lojalnie cenzurze wojskowej i stosują się do zaleceń rządu w tych sprawach politycznych które zdaniem rządu wymagają milczenia. Sprawę wolności słowa, — współczesny człowiek versus współczesna wojna — jedną z najtrudniejszych spraw do rozwiązania, załatwiono w Anglii dzięki zdyscyplinowaniu i wyrozumiałości wszystkich których ta sprawa dotyczy. Jeśli zważymy, że w obliczu tak samo istotnych problemów jak na-

sze, w obliczu najgroźniejszego „być albo nie być" jakie zna historia Anglii, potrafili zachować zimną krew, umiar i trzeźwy, niezmącony namiętnością sąd, wiele nam to mówi o Anglii. Tak wiele jak wielkie są w tych sprawach nasze własne winy.

KSIĄŻKA

Swego czasu, dość dawno temu, czytałem w pewnym piśmie francuskim następującą anegdotę:

„Co mam kupić dla Johna na urodziny?" — radził się pewien Anglik drugiego Anglika.

„Może książkę!?"

„O nie, ma już jedną", brzmiała odpowiedź.

Anegdota ta jest najbardziej niegodziwym i perfidnym oszczerstwem jakie kiedykolwiek wypowiedziano. I świadczy o bardzo powierzchownej znajomości Anglików. Anglicy nie afiszują się swymi talentami, zamiłowaniami czy zainteresowaniami. Znają znacznie subtelniejsze i bardziej skuteczne sposoby propagandy i auto-reklamy. W angielskim domu — a mówię o domach drobnomieszczańskich, które stanowią większość angielskich „home'ów" — książka nie jest na pokaz, a biblioteka nie jest dekoracją. Są książki. Widać ich nawet sporo, ale nie są one wystawiane na pokaz jak to bywało w snobujących się „lepszych domach" polskich, a może bywa w „lepszych domach" angielskich. Masy książek które się w Anglii wydawało — i mimo wojny i ograniczeń papieru — nadal wydaje, oraz nakłady które przyprawiły by o zawrót głowy polskich wydawców zadają najdowodniej kłam tej dowcipnej ale nieścisłej anegdocie.

W Anglii czyta się dużo. Najlepiej uzmysłowią to cyfry. Następujące zestawienie przedstawia ilość nowych książek ogłaszanych co roku od 1937 — 1941: (według „Britain needs books" by John Brophy, National Book Council.)

	1937	1938	1939	1940	1941
Sztuka i muzyka	313	250	252	159	106
Biografie	789	855	689	444	356
Wychowanie	1.337	1.341	1.350	658	340
Powieści i książki dla dzieci	6.694	6.153	5.525	4.764	2.862
Historia, geografia, podróże	1.207	1.213	1.145	718	492
Literatura, teatr, poezja ...	1.277	1.078	1.009	751	574
Filozofia, psychologia, religia	1.208	1.171	1.011	732	583
Słowniki, encyklopedie itp. ...	418	404	349	225	117
Nauki ścisłe, medycyna, technika	1.920	1.845	1.773	1.250	907
Socjologia, prawo, polityka	1.455	1.504	869	1.099	1.140
Miscelanea	507	405	932	250	104
	17.125	16.219	14.904	11.050	7.581

Powyższe zestawienie obrazuje nie tylko ilość wydawanych książek ale tory jakimi biegnie zainteresowanie Anglików. Uderzają cyfry książek filozoficznych, religijnych i psychologicznych oraz niesłabnące, mimo ograniczeń wojennych, zainteresowanie socjologią, prawem i polityką.

Trudniej uchwycić statystycznie cyfry nakładów. Pewien obraz da tu suma obrotów handlu księgarskiego. Cyfry podane, są cyframi handlu en gros.

W roku	1937	obrót wynosił	£	10.507.204
„ „	1938	„ „	£	10.706.018
„ „	1939	„ „	£	10.321.658
„ „	1940	„ „	£	9.953.196
„ „	1941	„ „	£	13.986.700

Cyfry te potwierdzają tylko ocenę naocznej obserwacji. Stosy książek w każdym kiosku czy sklepiku z gazetami (nie mówiąc o księgarniach), okładki zawsze czyste i niewypłowiałe od słońca i czasu, świadczą o tym, że „interes idzie"; że książki się sprzedaje; że nie wegetują za witryną sklepową jak to bywało często u nas. Książki kupuje tu każdy. Lekarz, sędzia, oficer, panienka sklepowa i robotnik. Są też książki na każdą kieszeń. Od sześcio-pensowych Penguin'ów (wojenna cena 9d), poprzez rozliczne tanie wydania „best-sellerów", serie poświęcone specjalnym zagadnieniom czy tematom, aż po drogie i najdroższe luksusowe wydania. Różnica zaś między książką za 10 sh a książką za 2/6 jest co najwyżej różnicą w czasie wydania, tak jak filmy które po premierze w West-Endzie oglądało się za cenę cztery razy droższą niż 3-4 tygodnie później w kinie lokalnym.

Bardzo ciekawym i stosunkowo nowym pomysłem są tzw. Book Club'y. Członkowie „Book Club'u", w zamian za zobowiązanie, że kupować będą co miesiąc książkę wybraną dla nich przez klub, otrzymują tę książkę w normalnym wydaniu, parę dni przed jej ukazaniem się na rynku za cenę o połowę tańszą. Istnieją rozmaite „Book Club'y" z których każdy obsługuje czytelników o innych zainteresowaniach. Np. Left Book Club i Right Book Club dostarczają literaturę polityczną o kierunku lewicowym względnie prawicowym; „Book Society", „The Book Club", „Readers Union", „World Books" itd. zaopatrują swych członków w literaturę rozrywkową, itd. itd. Umożliwia to każdemu kupienie dobrej książki przynajmniej raz na miesiąc. Kluby te są na ogół inteligentne i uczciwe w doborze książek.

Innym popularnym sposobem rozpowszechniania książek są znane także w Polsce „Tygodnie książki" tutaj zwane „Book Fairs". Obecnie są one zawieszone na czas trwania wojny, ale przed wojną taki np. doroczny „Sunday Times National Book Fair" był poważnym wydarzeniem sezonu.

Warto również wspomnieć o tzw. „Book Tokens". Są to asygnaty na książki które można kupić w każdej cenie i w każdej księgarni. Jeśliby nasz Anglik, bohater wyżej opowiedzianej anegdoty, zdecydował się przecież na kupno książki dla owego Johna „który już ma jedną", mógłby po prostu kupić asygnatę — Book Token — za 2/6, 5/-, 10/- lub więcej, i wówczas John mógłby sobie wybrać taką książkę jaka mu się żywnie podoba i nie byłoby ryzyka że dostanie np. taką samą jak ta jedna którą już ma. „Book Tokens" to olbrzymia instytucja clearingowa zarządzana przez „National Book Council" dla „Associated Booksellers of Great Britain and Ireland". Jak ten pomysł „chwycił" dowodzą znowu najlepiej cyfry:

	w 1933/4	sprzedano	68.076	takich asygnat
	w 1935/6	„	200.383	„ „
	w 1937/8	„	282.067	„ „
	w 1939/40	„	323.315	„ „
a	w 1941/2	„	767.990	„ „

Handel nie był modny w Polsce a metody handlowe miały u nas niespołeczny posmak. Anglia jest jednak narodem kupców, a Anglik niczego kupieckiego „sibi alienum putat”. To też sporo pokaźnych fortun zrobiono w handlu księgarskim, ale równocześnie oddano krajowi i społeczeństwu niezmierne usługi. W księgarstwie powodzenie kupieckie idzie zwykle w parze z pożytkiem społecznym. Ponieważ zaś w Anglii etyka kupiecka jest na ogół wysoko postawiona (bo jest à la longue metodą najbardziej opłacalną) więc nie ma tu nadużyć, które we Francji np., rozwydrzyły się w „narodowy przemysł” książek pornograficznych.

Książka kupiona jest jednak tylko ułamkiem tego co człowiek współczesny czyta. Znacznie poważniejsze znaczenie i rozmiar ma wypożyczanie książek. (Nie prywatne rzecz jasna, o którym Francuz mówi „Un livre preté c'est un livre perdu, toujours il est taché, souvent n'est pas rendu”.) I tu posiada Anglia instytucję która nie ma odpowiednika na kontynencie. Jest nią „Public Library”. Stworzone aktem parlamentu w 1850 r., dzięki staraniom i kampanii przeprowadzonej przez Edwarda Edwards'a (1812-1886), ze skromnych początków wzrastały powoli ale stale, a dzisiaj nie widać okresu ich możliwości. Parę cyfr znowu najlepiej zobrazuje ten rozrost.

Rok	Ludność	Tomów Ilość	Tomów Na 100 osób	Wypożyczono Ilość	Wypożyczono Na 100 osób	Wypożyczający Ilość	Wypożyczający Na 100 osób
1935	46.153.303	26.775.894	58	207.982.342	451	7.142.101	15.5
1939	46.686.432	32.548.939	69,7	247.335.325	530	8.936.927	19,1

Budżet „Public Libraries” wynosił w 1935 r. sh. 1/1 na głowę, a w 1939 r. sh. 1/4. Tak wiele korzyści za tak niską cenę.

Każdy człowiek który płaci podatek mieszkaniowy ma prawo do bezpłatnego wypożyczania książek w „Public Library” swojej dzielnicy czy miasteczka. Wszyscy inni mogą z wypożyczalni korzystać jeśli potrafią się wykazać odpowiednią gwarancją „ratepayer'a”. Powyższe cyfry zaczerpnięte z „The Public Library Systhem of Great Britain” by L. R. McColvin (The Library Association 1942), wskazują, że ponad 19% ludzi korzysta z Public Libraries. A zatem 1/5 ludności włącznie z dziećmi.

W książce „The Library and the Community” by L. S. Jast (Th. Nelson & Sons Ltd., 1939) znajdujemy następujący ciekawy obrazek: „Niewielu żyjących pamięta wnętrze komunalnych wypożyczalni, takie jakie ono było w pierwszym dwudziestoleciu istnienia „Public Libraries”. Długa lada oddzielała czytelnika od książek, które mógł tylko obserwować zza lady, jak stoją równo na półkach pod ścianami. Najwyższa półka dosięgalna była tylko za pomocą drabinki. Poniszczone egzemplarze drukowanych katalogów leżały na ladzie. Z tych katalogów — albo z własnego egzemplarza, który sobie prywatnie zakupił —wypisywał czytel-

nik listę książek. Tę listę oddawał wraz ze swoją kartą członkowską bibliotekarzowi który dopiero wyszukiwał dlań książkę."

Tak wyglądała wypożyczalnia angielska w latach 1850-70. W 70 lat później w Polsce wypożyczalnie wyglądały tak samo, natomiast Anglicy unowocześnili swe metody. Książki są dostępne dla czytelnika który je sam z półek wybiera. Pewien Polak wyraził się cynicznie, że u nas „natychmiast rozkradliby". Te same obawy wyrażono i w Anglii gdy ktoś po raz pierwszy zaproponował zmianę przestarzałego systemu, niewygodnego i sprzecznego z duchem książki. Praktyka okazała, że pesymiści — jak zwykle — się mylili. Kradzieże książek z „Public Library" należą do rzadkości tak, że L. S. Jast może nawet powiedzieć w swej książce: „Morderstwo może być w pewnych okolicznościach zrozumiałą zbrodnią, ale nie jest do pomyślenia aby ktoś ukradł książkę z biblioteki do której ma wolny i nieograniczony dostęp."

Wojna przyniosła w czytelnictwie cały szereg zmian. Trudno je ocenić jeśli chodzi o książki kupowane. Ograniczenia wojenne sprawiły, że popyt nie jest więcej miernikiem powodzenia. Wszystkie książki które się wydaje mają zapewniony popyt choćby dlatego, że wydaje się ich o tyle mniej i że tak wiele zapasów zostało zniszczonych podczas „blitz'u". Łatwiej uchwycić te zmiany jeśli chodzi o książki wypożyczane. Sporo ciekawego materiału przynosi wyżej cytowana książka McColvin'a. Czytelnictwo poważnie wzrosło od wybuchu wojny. Wyraża się to we wzroście ilości książek wydanych z Public Libraries. Ankieta przeprowadzona w 413 bibliotekach wykazuje że 77% z nich zarejestrowało wzrost ilości wypożyczonych książek dochodzący do 93%. Nie wolno zapomnieć, że cały szereg czynników działało hamująco na rozwój czytelnictwa. Np. ewakuacja kobiet i dzieci z okręgów zagrożonych, dłuższe godziny pracy które nie zostawiają wiele czasu i sił na czytanie itp. Jest parę powodów tego wzrostu. Po pierwsze okoliczności zewnętrzne jak black-out, służba nocna fire-watcher'ów, warden'ów itp.; po drugie zmiana naszych zainteresowań: ciekawią nas nowe tematy ściśle związane z wojną jak np. wojsko, Home Guard, technika, ogrodnictwo, pielęgniarstwo itd.; w końcu powody bardziej nieuchwytne a mimo to dziwnie zrozumiałe które spowodowały zupełny niemal zanik zainteresowań dla książek o sprawach bankowych, finansowych, biurowych, o rozmaitych „hobby" tak popularnych przed wojną w Anglii, a niewiarygodny wzrost zainteresowania książkami filozoficznymi (starymi i współczesnymi) i polityczno-społecznymi. (Według artykułu p. H. M. McGile pt. „Reading Tastes in War Time" w The Library Association Record.)

Jak wszędzie, w każdej innej dziedzinie życia tak i tu objawy wojenne wskazują na głęboko sięgające przemiany w sposobie życia i myślenia Anglików. Przyglądajmy się im uważnie. Nowy człowiek rodzi się w Anglii, a zwycięstwo sprawi, że będzie on miał więcej do powiedzenia o losach świata niż kiedykolwiek w historii.

HALINA TERLECKA

Z notatnika

Ledwo roztopiły się ostatnie płaty śniegu, ledwo przygrzało słońce — ciągnie mnie w step.

Czuję, jak ziemia drży: to trawy chcą rosnać. Coś podobnie drży we mnie, co pragnie wyrosnąć do słońca.

Pachnie świeżą wilgocią ziemi. Znikąd powstałe poszumy i szelesty przelewają się wraz ze skowronkową piosenką przez nieogarnięte przestrzenie.

Dobrze jest położyć się napłask, oprzeć brodę na dłoniach i z twarzą tuż przy ziemi — patrzeć.

Życie jest niezmożone, niezniszczalne.

Podziwiam mądrość i siłę maleńkich pędów, które się wyciągają według kształtu, nakazanego ich gatunkowi, podziwiam lilipucie, pokryte srebrnym puszkiem miotełki wąskich listków, które w skomplikowanych laboratoriach swych komórek przerabiają soki ziemi na zawsze, jednakową syntezę o gorzkawym aromacie — syntezę siły i życia.

Świat, widziany tak bardzo z bliska, świat, oglądany przez lupę, przez mikroskop — ma dla mnie zawsze cudowną treść. Uspakaja mnie swym spokojem, swym przeogromnym bogactwem zasłania moją własną nicość, łączy ją w harmonijną jedność z nicością komórek i atomów — i — dziwne: to podobieństwo nie upakarza, tylko odwrotnie — podnosi.

Każdy z tych tworów maleńkich dlaczegoś istnieje i spełnia swoje przyrodą nakazane przeznaczenie — więc chyba i ja nie jestem przypadkiem, więc i moje istnienie ma jakąś celowość.

Niepróżno i nienadaremnie przelewa się jesienią życiodajna siła ze schnących liści, z przekwitajacych kwiatów w utajone przemądrze życie schowanych w ziemię korzeni — czemuż więc moja obecna wegetacja pod powierzchnią tego, co można życiem naprawdę nazwać, nie miałaby być zachowaniem potencjału energii na jakiś nieznany mi, przyszły rozkwit?

A jeśli nawet nie mam rozkwitnąć, jeśli mam przestać istnieć po latach podziemnej wegetacji — to może się stanę atomem, cząsteczką energii, dźwigającej pęd do słońca nowych istnień, jak próchnica ziemi żywi i nasyca nowe, rosnące na umarłych, rośliny?. . .

Czy koniecznie trzeba być dla siebie?

Glebo rodząca, jak ty umiesz pocieszać. . .

Nawet wtedy, gdy jesteś cudza, obca.

* * *

Notatka ta nosi: 10 *maja* 1941 *r., oraz oznaczenie miejscowości:—Przyirtyszski Zerno-Sowchoz, Kazachstan.*

Zżółkła i wystrzępiona kartka, pokryta zatartym pismem ołówkowym dotarła rok temu do Wielkiej Brytanii w żołnierskim plecaku autorki. W owym czasie przybyła na wyspę pierwsza grupa Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet.